Nr. 42 (1295). Warszawa, 28 (15) Października 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19. Telefonu 7388.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Traktat.

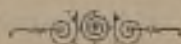
Dnia 14 b. m. dokonały obie strony, od d. 5 września związane umową zakończającą wojnę, ratyfikacyi tego aktu. Z podanego tu w przeszłym tygodniu wielce skomplikowanego sposobu, jakiego użyto do wymienienia egzemplarzy traktatu, zaopatrzonych w podpisy monarchów, nadające mu dopiero moc ostateczną, widać jak mało jeszcze sama umowa zbliżyła do siebie nieprzyjaciół z doby, którą dziś już wczorajszą nazwać można. Jeżeli z obu stron wymówiono słowo przyjaźni jako ideału przyszłości, żadna z nich nie myślała sięgać zaraz po gwiazdkę z nieba. Wojny już w fizycznym przestworze niema, ale w umysłowym, ściślej mówiąc, w psychicznym czuć jeszcze jej drgnienia. Czas musi przytępić wrażliwość, złagodzić zbyt ostre wspomnienia, musi wypalić zbyt jaskrawe barwy w obrazach, które odbiła pamięć nietylko z wojny, ale z samego nawet pokoju. Jeżeli Rosyanie zapamiętają na długo Liaojang i Mukden, Japończycy nie prędko zapomną o Plymouthie. Po wielkich, choć niedoskonałych zwycięztwach na lądzie, tam dopiero pierwszą ponieśli klęskę. Dała im ona naukę, a jak nauk wszelkich chciwie szukają, tak i rozumnie korzystać z nich umieją.

Nie byłoby to ani dla jednej, ani dla drugiej strony dobrem, gdyby przywrócenie stosunków normalnych długo czekać na siebie kazało. Żadna z nich nie potrzebuje nastrajać się na ton przyjaźni, która nawet w tej treści, jaką między państwami mieć może, musiałaby być nieszczerą. Wystarczy tylko zbliżenie się do siebie takie, jakiego wymaga pożycie we wspólnym świecie politycznym. Dla Japonii zwłaszcza wysłanie jak najszybsze posła do Petersburga, człowieka z głową, powinno być upragnionem. Ważną jest rzeczą zaraz po wojnie śledzenie tych zabiegów niemieckich, tego obskakiwania i nadskakiwania, które daje wyraz życzliwości niemieckiej dla Rosyi. Nie mogą Japończycy obojętnie patrzeć na kształtowanie się stosunku mocarstwa północnego do Francyi pod wpływem natarczywości niemieckiej w Marokku. Sam proces wreszcie powrotu energii politycznej, rosyjskiej z dalekiej Azyi do blizkiej Europy, związany ściśle z ustosunkowaniem się do Anglii, ma dla polityki japońskiej znaczenie pierwszorzędne. Tego wszystkiego niepodobna śledzić zdaleka, z raportów posłów swoich w innych stolicach Europy lub z wynurzeń obcych w Tokio: potrzeba mieć przy samym ognisku ruchu swoje własne ucho i oko — i rozum. Rosya może nie być stroną pilniejszą, ale Japonia nią być musi. Pokój nie spłoszył bynajmniej widma interwencyi europejskiej, która przed 10-ciu już przeszło laty tak srodze skrzywdziła państwo Wschodzącego Słońca: owszem, widmo choć mniej drapieżne, zjawiło się i teraz w tej izbie arsenału w Plymouth, w której podpisywano akt pokoju.

Ogłoszony już tekst tej umowy uzupełnia i prostuje wyobrażenie, jakie mieć było można o niej po pierwszych doniesieniach telegraficznych w końcu pierwszej połowy września. Japonia nie sama jedna tylko zobowiązuje się nie wznosić twierdz na Sachalinie: czynią to obie strony; nie zaciągając wcale obowiązku nieobwarowywania cieśniny La Perouse'a, poddaje się jedynie zakazowi tamowania żeglugi handlowej, ale takie samo zobowiązanie bierze na siebie i Rosya co do cieśniny Tatarskiej. Obie strony zrzekają się przedsiebrań jakichbądź środków wojennych na pograniczu Korei i posiadłości rosyjskich ku Władywostokowi. Prawa Japonii na terytoryum korejskiem określa artykuł II jako „przewagę interesów politycznych, wojskowych i ekonomicznych”. Prawa dzierżawy Portu Arthura i półwyspu Liao-tung przechodzą z Rosyi na Japonię, ale pod zastrzeżeniem pozwolenia chińskiego, o które tak jedna jak druga strona podejmie starania. Chiny mogłyby nie pozwolić, gdyby Rosya pozwolenie zatamować chciała: stąd przepis zobowiązujący ją do współdziałania. Kolej mandżurską na terytoryum chińskiem, właściwie wschodnio-chińską, od Portu-Arthura i Talien-wanu do Tszan-tschungu (Kuan-tszen-tse) na północ od Tie-lingu i Kau-ju-jenu, czyli większą część drogi od morza do Charbina, Rosya odstępuje Japonii, bez żadnego wynagrodzenia, ale również za zgodą Chin, która tutaj ważniejszą jest niż przy dzierżawie liao - tuńskiej, Japonia bowiem ma wykonywać swe prawa na terytoryum w art. III wyraźnie za chińskie uznanem, i nie wolno jej poza obręb kolei wykraczać. Ostatni ten punkt zobowiązuje i Rosyę.

Najznojniejszą dla Japonii będzie orka polityczna na Korei. Pochyłość, na którą weszła, ściągać ją musi wciąż ku zupełnemu podbojowi; charakter, w jakim obejmuje półwysep, pozwala jej i wobec Rosyi i wobec Chin i wobec Europy tylko na protektorat, t. j. gospodarowanie na rzecz protegowanego. Tak zwany cesarz Korei, a właściwie pierwszy w narodzie dygnitarz, mogący czasem zakazać czegoś, czasem coś nakazać tak, żeby go wszyscy słuchali, w

roku już bieżącym zobowiązał się uznawać i popierać jedynie tylko wpływy, rady i wskazówki japońskie. Taki był cel misyi margr. Ito. Ale ani cele, ani zobowiązania tego rodzaju nie mają rezonansu, nie znajdą nigdy podłoża, ani oparcia niezbędnego w naturze ludzkiej. Litera we wszelkich takich umowach, czy jednostronnych aktach ryta jest zawsze w lotnym piasku: zerwie się wicher w ludzkiej naturze i ślady nawet zobowiązania, wymuszonego na niemocy zasypie. Wiedzą o tem tak dobrze Chiny, jak Europa — i nie zaniedbają z tego skorzystać. Protektorat stanie się jarzmem, a wyzwolenie się z niego będzie dawało Chinom i Europie ciągłą pokusę do powstrzymania Japonii na tej niezmiernie subtelnej granicy, jaka oddziela protektorat, prowadzony środkami cywilizacyi i państwowości, ale broniony narzędziami zniszczenia, od podboju z zamiarem i skutkiem ostatecznego opanowania. Ciążenie Rosyi z Mandżuryi na Koreę wywołało minioną już wojnę; rozsadzanie Korei od wewnątrz przez Japonią może wywołać nowe starcie orężne. Przymierze z Anglią utrudni je tylko i opóźni, zapobiedz mu nie zdoła.



Sztandar narodowy.



Rozważne głosy, w dalszym ciągu nawołujące wszystkich do jednoczenia się i grupowania w jednolitą masę polityczną, rozlegają się coraz silniej i coraz wrzaskliwiej.

...Łączmy się!—wołają jedni.

...W imię czego?—pytają drudzy i czekają zadawalającej odpowiedzi.

Nadaremnie!

Odpowiedzi takiej nikt dać nie może. Piękne frazesy, nawołujące do zgody, są głosami naiwnych poczciwców, wołających na puszczy, głosami, dyktowanymi przez złudzenie, że w narodzie całym może zapanować jedność.

Jedność narodu!

Historya nie daje ani jednego przykładu, świadczącego o istnieniu takich momentów dziejowych, w których cały naród stałby się jednem ciałem, tak doskonale zestrojonem, by wszystkie jego organy poruszały się w zgodny takt jednej przewodniej myśli. Nawet w chwilach, kiedy płomień szczytnego uniesienia rozpalał poświęceniem serca dziesiątków, setek, tysięcy, a wicher silnej nadziei pędził całe rzesze na pole śmiertelnego boju, nawet w chwilach, kiedy szał rozumny z tchórzy robił bohaterów, a bezgraniczne poświęcenie stawało się zjawiskiem normalnem, nawet w chwilach największych upojeń i najwznioślejszych wzlotów nie było w całym narodzie zespołu. Kiedy jedna część narodu ginęła, druga zachowywała się biernie, trzecia nieprzyjaźnie lub wrogo.

Lecz wbrew wszystkiemu, co mówią, historya się nie powtarza. Więc to, czego nie dokonało wczoraj, może dokonać jutro.

Czy może?

Jeżeli historya nie rozstrzyga nawet o najbliższej przyszłości, to rozstrzyga o niej logika. A logika mówi, że harmonia nie może powstać z kłócących się rozdźwięków. Więc dopóki sprzeczności w zapatrywaniach na najbliższe zagadnienia narodu nie zostaną usunięte, dopóty o skoordynowanej działalności wszystkich partyj, grup, stronnictw, nie może być mowy. W orkiestrze życia społecznego tyle tonów ze sobą dziś walczy, że zlanie je w zgodny tryumfalny akord jest niepodobieństwem. A jednak znaleźli się kapelmistrze, którzy stanęli za pulpitem dyrektorskim i zaczęli dyrygować narodowi w takt grającego w ich duszach ideału.

...Odrzućmy niesnaski partyjne, zapomnijmy o tem, co nas rozdziela i łączmy się w imię tego, co dla wszystkich jest drogie i święte!...

...Łączmy się! — wtórują liczne głosy i okrzyk ten leci w przestrzenie.

Nikt już nie pyta w imię czego się łączyć, bo rozwinięto sztandar narodowy i kazano weń patrzeć, jak w słońce.

...Oto znak, przed którym wszyscy powinni pochylić swe czoła, oto znak, który wszystkie waśnie powinien uśmierzyć!

Sztandar narodowy!

Są słowa piękne, a zarazem puste, mówiące wiele a nic nieznaczące, słowa, które każdemu nasunąć mogą inne refleksye. Słowa takie pojawiają się zawsze, kiedy trzeba znaleźć radę na to, czemu zaradzić nie można. Lecz po co słów takich używać?... Po co? Czyż nie lepiej na rozwiniętym sztandarze wypisać program, a dopiero później wziąć do ręki pałeczkę kapelmistrza?...

Bo „sztandar narodowy," ten sztandar, z którego szyld zrobiła sobie narodowa demokracya, stał się łachmanem, od którego szerokie warstwy ze zgrozą odwracają oczy. Sztandar naszych nacyonalistów powiewa obecnie na placówkach, wrogich ogromnej części narodu. Wiemy wszyscy, że sztandar ten oddawany jest dzisiaj w ręce „czarnych sotni", pamiętamy, że rozwinięto go wówczas, kiedy trzeba było zamaskować antiludową taktykę, że straszono nim, kiedy tchórzostwo nie pozwoliło iść z prądem, że długi czas używano go dla osłony obłudnych występków, fałszów i kłamstw. Pamiętamy, że pod tym sztandarem wypowiedziano wojnę Rusinom, wszczęto kampanię przeciw Żydom, a w ostatnich czasach rzucono z za niego czarnym gradem kłamstw i kalumnij w tych, co cierpieli najwięcej, a nie mogąc bólu stłumić, cierpieli na głos. I pamiętamy jeszcze, że sztandar ten wywołał wrzenie i bunt w sercach młodzieży polskiej. Pamiętamy, że niedawno z rąk tej młodzieży sypnęły się kamienie w znienawidzoną płachtę i wiemy, że rozgłośnemu dźwiękowi szyb, wybijanych w „patryotycznej" redakcyi „Słowa Polskiego," wtórowało radosne echo z drugiej strony kordonu.

I ten sztandar wystawiono dzisiaj? Ten sztandar?!...

Czyż są jeszcze naiwni, którzy mogą uwierzyć, że flaga narodowo-demokratyczna może zjednoczyć dziś masy?!

Ale pod tym niejasnym terminem rozumieją czasem „interes narodowy" bez tego specyficznego zabarwienia wszechpolskości, które n. d. wyciska na zmonopolizowanych przez siebie ogólnikach. A „interes narodowy"—to synonim „dobrze rozumianego patryotyzmu, który pozbawiony jest wszelkich „obcych przymieszek", nieodpowiadających charakterowi naszego narodu. Katechizm patryotów tej kategoryi nakazuje wierzyć, że dobry patryota powinien kochać ziemię, na której się urodził, powinien dla tej ziemi poświęcić siebie i wszystko, co jest mu najdroższe, powinien pracować, cierpieć, ba! powinien umrzeć w razie potrzeby, ale nigdy nie powinien wołać, że jest głodny i ciemny, bo to są już „obce przymieszki," niezgodne z duchem narodowym. Patryotą nie może być człowiek głodny! Patryotą nie może być człowiek, pragnący światła! Wogóle patryotą nie może być człowiek, lecz Polak!...

Przedewszystkiem zrozumienia tej mądrości wymaga „interes narodowy."

I to jest drugi punkt widzenia, bardziej prostaczy, ale niemniej popularny od po-

4)

Kobieta—dzieło mężczyzny.

(KVINDEN SKABT AF MANDEN).

STUDYUM.



Ciąg dalszy.

Zdarzało się jednak, że jego tkliwość i we mnie na krótko budziła dawną miłość—wtedy wstydziłam się i byłam wzruszoną. Zawsze przychodził do mnie taki ufający, taki pewny siebie, odchodził taki wdzięczny, taki troskliwy o mnie. Bo, chwała Bogu, z własnego doświadczenia wiem, że nieprawdą jest, aby kobieta, oddawszy się ciałem ukochanemu mężczyźnie, czuła się lekceważoną o tyle, o ile przedtem czuła się ubóstwianą. To twierdzenie jest jednem z wielu nieuzasadnionych sądów w interesującej książce Weiningera. Zbyt okropną byłaby dola kobiety, gdyby to miało być prawdą!

Być może, iż taki sposób myślenia odpowiada dawnemu, wschodniemu pojęciu o kobiecie, ale inteligentni mężczyźni dzisiejszych czasów nie myślą „o kobiecie, tylko na wschodni sposób." Ona w ich oczach jest *także* człowiekiem, szanują ją też jako człowieka a oddanie się im dobrowolne budzi w nich inne uczucia, niż niewolnicze. Musimy wierzyć, że to jest regułą.

Gdyby Weininger mógł przeczytać te słowa, odpowiedziałby spokojnie: Die Verlogenheit der Frau ist tief (Kłamliwość kobiety jest bezdenna).

Kobieta nawet nie *kłamie*, zdaniem Weiningera, brak jej dla tego głównego warunku, gdyż brak jej poczucia prawdy. Ona jest absolutną kłamliwością, grzech to dziedziczny, którego jedynem zadaniem jest uczynić mężczyznę „winnym". To też kobieta nie może świadczyć ani za sobą, ani za drugimi. Jej świadectwo nie przedstawia żadnego znaczenia.

A jednak!

Dni upływały na pracy, bez radości, ale też i bez smutków właściwie. Czułam tylko taką dziwną pustkę i znużenie a w nocy nie mogłam sypiać. Myśli moje poczęły wybiegać po za ognisko domowe. Musiałam wynaleźć sposób wypełnienia pustki. Samotność gnębiła mnie i w długie wieczory siadywałam wpatrzona w ogień i tęskniłam tak bardzo, że odczuwałam, jak gdyby głód i ból fizyczny — tęskniłam nie do ludzi, ale do *jednego* człowieka — człowieka, któryby znów zapełnił moje myśli i zagłuszył trwogę przed życiem i lęk przed śmiercią. Przestrzeń była mi za wielką, zagadki zbyt liczne, śmierć zbyt bliska.

Siadałam u łóżeczek moich dzieci, mówiąc w duchu: to przecież twoi ludzi! One powinny zająć twoje myśli i wypełnić pustkę serca. Całowałam ich rączki i płakałam nad niemi. Dlaczegóż smutna i samotna odchodzić musiałam od tego, co kochałam nad wszystko na ziemi i za co chętnie, oddałabym życie?

I znów poczęłam zatapiać się w sobie.

Jakiż my, ludzie, jesteśmy bezradni, chodzimy po świecie jak ślepi! Nie potrafimy być czemś dla siebie wzajem, gdy tego zajdzie potrzeba. Nawet matka jest niczem dla swojego dziecka, gdy ono dorośnie. Ileż razy, odchodząc od nich wieczorami, pragnęłam, abym mogła pomodlić się do jakiegoś Boga, powierzyć je jakiejś „ojcowskiej opiece." Ale i Boga straciłam od wczesnej młodości. Być może, iż wolnomyślność wisiała wtedy w powietrzu. Czy-

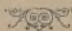
glądów n. d., a jeżeli nie nominalnie, to faktycznie pozostający z nim w najbliższem pokrewieństwie.

Jest jeszcze trzeci punkt widzenia.

Kto tedy dzisiaj wywiesza sztandar narodowy, ten powinien wypowiedzieć jasno, w jakim stopniu sztandar ten uwzględnia interes narodowy, gdzie się ten interes zaczyna, gdzie kończy.

Dziś trzeba już mówić wyraźnie!...

Artur Śliwiński.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rzeczywiście, góra urodziła mysz: gen. Fejervary otrzymał wraz ze wszystkimi swymi kolegami, z wyjątkiem jednego tylko handlowca, nowe pełnomocnictwo do przeprowadzenia nowego programatu reform państwowych, a właściwie — walki z opozycyą narodową, Talizmanu nikomu jeszcze nie pokazał, ale przysięgę na to, że uczciwie będzie starał burzę na Węgrzech talizmanem tym zakląć, już złożył d. 21 b. m. i funkcye swe rozpoczął ponownie jako minister, któremu formalnie niczego nie braknie prócz takiej drobnostki, jak zaufanie większości narodu. Starcia jeszcze dotychczas nie było. Odroczenie sejmu do grudnia nie znaczy i odroczenia walki do tego czasu.

Oba ciała przedstawienicze skandynawskie zatwierdziły w końcu przeszłego tygodnia umowę karlsztadzką. Król szwedzki stanowczo odrzucił ofiarowaną młodszemu synowi swemu koronę norweską — którą umyślnie zrobić będzie potrzeba. Dar odrzucony skierowano do Kopenhagi, ale dopiero półurzędownie. Chrystyan IX zgadza się na kandydaturę swego wnuka, ożenionego z księżniczką Maud, córką Edwarda VII; słusznie jednak dwór duński się waha, wymagając wobec silnego prądu republikańskiego w Norwegii uchwały wszystkich obywateli w głosowaniu powszechnem. Rzeczy tak stoją, że może jeszcze do urzędowej propozycyi wcale nie przyjdzie.

Zwycięztwo Korfantego nie przestaje żmij niemieckich podniecać do syków gniewu i nienawiści, spływającej ostatecznie w pomysły nowych zamachów na prawa człowiecze Polaków wogóle, winnych czy niewinnych przestępstwa, które wygnanego posła wprowadza napowrót do sejmu ogólno-niemieckiego. Nawet rzecz tak mała, jak sprzedanie niepotrzebnego gruntu miejskiego w Poznaniu przez miejscowy, ultra-niemiecki przecież, magistrat, daje pochop tym gadzinom do projektowania prawa, któreby wydarło Polakom możność prawną nabywania pewnej kategoryi realności w miastach. Hakata centrowców, wykonywana przez księży w Westfalii na ludności polskiej prześladowaniem ojczystej mowy w kościele, zadaje gwałt samej religii. Nienawiść ku imieniu polskiemu coraz głębiej przenika w naród prusko-niemiecki. Przy panującym stale „Winck von Oben," wskutek zaciętości Wilhelma II przewidywać można wzmożenie się jeszcze tego niegodziwego prawodawstwa, które, walcząc z Polakami, toczy zarazem walkę i z samą naturą, tą macierzą wszelkiego uspołecznienia ludzkiego. W Poznańskiem jedne z większych dóbr ziemskich wróciły z rąk niemieckich w polskie; ale krótko trwała radość z tego powodu: sprzedawczyki nie próżnują; znowu kilka majątków wydali w ręce niemieckie. Jak gwałtownie potrzeba Poznańskiemu silnych ludzi, zorganizowanej siły duchowej i materyalnej — tego dowodzi samo przechwałanie się listem wystosowanym przez związanych z sobą dwunastu panów szlachty do wszystkich niezwiązanych, a zapowiadającym—jako środek walki ze sprzedawczykami—niepodawanie im ręki i zrywanie z nimi wszelkich stosunków towarzyskich. Gdy tu gorejącej żagwi potrzeba, oni grożą zapałką, nawet jeszcze niezapaloną! Tacy ludzie, takie środki, takie zamiary—nie wytworzą ducha jednolitego, publicznego patryotyzmu, bez którego obrona od łotrów i niedołęgów wewnątrz, a wrogów z zewnątrz będzie tylko ustawicznem dreptaniem niemocy w deptaku próżności.

W ubiegłym tygodniu nie ustawała polemika między dziennikami francuskimi i angielskimi a niemieckimi o ową gotowość Anglii do zmniejszenia budżetowi niemieckiemu ciężarów na flotę. We Francyi oburzenie wywołała *Frankfurter Ztg.* pytaniem: coby też zrobiła Francya w razie wojny Anglii z Niemcami? Oczywiście,odpowiedziano,pospieszyłaby z pomocą—o ileby sama na pomoc Rosyi liczyć mogła. Od czasu odkryć Delcassego prowincya rozgrzewa się coraz bardziej patryotycznie, i to jest niewątpliwą ich zasługą. W Paryżu „la haute finance" pragnie zbliżenia się do Niemiec, czyli patryotycznego eunuchowstwa, ale umysły polityczne z każdym dniem i same przez się i przez ocieranie się o prowincyę wzmacniają w sobie poczucie indywidualności narodowej wobec Niemiec dzisiejszych, a trochę ciężką troskę wobec przyszłych, które uniósłszy łupy z monarchii austryackiej, rzucą się na Belgię i Holandyę, a w samej Francyi zechcą posunąć dzisiejszą granicę od Mozelli i Wogezów do Mozy, aby tam dopiero znaleźć swoją granicę „naturalną".Nawet Jaurès wymawia teraz wyraz „brutalny", gdy mówi o polityce niemieckiej Do podniesienia ducha Francyi przyczynia się świeże zajście na pograniczu: uwięzienie przez żandarmów pruskich jakiegoś Antoinez, wziętego za Autoine'a. Prawdziwy zaś Antoine popełnił wielkie przestępstwo: jest synem człowieka który niegdyś protestował przeciwko wcieleniu do Niemiec.„

Pan Loubet d. 23 b. m. wyjechał z Paryża; nazajutrz stanął w Madrycie. Jest to w pewnej mierze odwet za Tanger. Hiszpania w Marokku pójdzie niezawodnie z Francyą.

ŻYCIE SPOŁECZNE

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Co prowincya myśli o wyborach, o szkole? — Co myślą dziatwa szkolna, warstwy ludowe i mieszczaństwo? — Kto ma nowe szkoły zakładać? — Ile miasta nasze wydają na kulturę?—Obrazki wiejskie. — Kwestya pożarowa.

W chwili, gdy zwolennicy sztuki i literatury z biciem serca śledzą zawziętą polemikę o „Szczupaka Kołdyczewskiego", politycy zaś badają staranne kwestyę solidarności przyszłych członków przyszłego Koła polskiego w przyszłej Dumie państwowej lub ze czcią odczytują manifesty prowodyrów narodu: Rabskiego,Libickiego etc. i po raz niewiem już który odradzającej się plejady polityków „realnych". W takiej chwili, pełnej zagadnień wielkich, ja z moimi Rachunkami być może wybieram się meco nie w porę. Dodaje mi jednak odwagi zobowiązanie przyjęte względem czytelników *Prawdy*. Zacząć nie mogę oczywiście od czego innego, tylko od przyszłych wyborów.

Wybory te powoli budzą już głosy w prasie prowincyonalnej. Wszystkie niemal pisma zamieszczają swoje uwagi: *Tydzień* np. radzi sprawiedliwy podział sześciu mandatów swojej guberni pomiędzy przedstawicieli rolnictwa, przemysłu i pracy umysłowej, zastrzegając jeden dla włościanina. *Gazeta Radomska* wzywa do zapomnienia o waśniach partyjnych i stronniczych i wybierania posłów *viribus unitis*.

---

tywało się Voltair'a, Rousseau'a i Darwina—ale najwięcej przyczyniły się do tego przyrodnicze badania mojego męża. Wiarę także mi zabrał. Nie przyszło mi nigdy do głowy sprawę przemyśleć samodzielnie. Nie czytałam nawet Biblii. Znacznie później, przypadkiem poznałam stare, indyjskie religie i tak bardzo się niemi przejęłam, że przez nie nabrałam ochoty do poznania chrześciaństwa. Znałam więc Gautama Buddhę przed Jezusem Chrystusem, według którego nauki przyjęłam chrzest i bierzmowanie. A chcąc poznać życie Jezusa, nie zaczęłam od Biblii, lecz od Renana, bo wszystko u mnie było przypadkowe, bezładne. Nakoniec przeczytałam i Biblię—ale wiary nie odzyskałam.

Kiedym przystępowała do bierzmowania, byłam bardzo religijnie usposobiona, gdyż podobnie, jak wiele moich koleżanek, ubóstwiałam księdza, bladego, fanatycznego chrześcianina, nieżonatego, cnotliwego, nieledwie świętego. Byłam przekonaną, że on nie ożeni się nigdy i na jego intencyę chciałam także wstąpić do klasztoru. Dla jego miłości odmawiałam poranne i wieczorne modlitwy, klęcząc przed łóżkiem, ubierałam się czarno i zaczesywałam gładko moje niesforne kędziery. Ale i wtedy chrześciaństwo było dla mnie zamkniętą księgą.

Myślałam często o ludziach, których znałam, o dobrych przyjaciołach, których miałam, o „nim," w którym kochałam się do szaleństwa, mając lat 17, o innych dwóch, którzy kochali mnie nieskończenie więcej, niż zasługiwałam i o wielu innych „lżejszych wypadkach" z młodości i lat późniejszych. Bo przecież z żywą, ładną kobietą—mężatką lub też nie, ale najczęściej z mężatką, *trzeba* poflirtować. Kiedym podróżowała po Południu, jako młoda kobieta... jeden, prawda! było ich nawet dwóch... jeden wypadek był nawet wcale „poważny"... Ale jak oni wszyscy byli mi obojętni! Śmieszni wprost! Nigdy nie mogłam pojąć, jaka może być przyjemność w przyjmowaniu hołdów od obojętnych, obcych ludzi. To mnie zgoła nie zajmuje. Ziewam z nudów w takich razach. Nie znoszę flirtu i „drobnych nastrojów"—nie jestem tak mało wymagająca. Wszelki salonowy flirt z drażliwemi sytuacyami i rozmową po kątach ma w sobie coś nieświeżego i nieładnego, co mnie przejmuje wstrętem. Albo—albo. Proste koleżeństwo lub miłość. A miłość nie ma nic wspólnego z drażliwością i małemi nastrojami. Ona żąda wszystkiego i daje wszystko. Jest to rzecz strasznie poważna. Kto potrafi rachować, zastanawiać się, mówić gdyby—to by, ten nie wie, co to jest miłość. Ani ten, kto oddaje się warunkowo i mówi o obowiązkach i rozsądku. Jeżeli się kocha, niema żadnego „gdyby," żadnych obowiązków, żadnego rozsądku; wtedy nie myśli się o sprawach powszednich, nie oblicza się, co jest korzystniejsze. Wtedy nie jest się ani cnotliwym, ani dzielnym, ani utalentowanym—jest się po prostu genialnym. Wolą swoją i myślą nieświadomie sięga się najwyższych szczytów. Nic nie wiąże, jedynie miłość. Gdy miłość tego zażąda, prysną wszystkie więzy, gdyż ona jest przemożną i tak być powinno.

Kiedy miłość zgaśnie, staje się człowiek użytecznym, zacnym, uprawia swoje talenty.

Nie, ja nic nie mogę robić połowicznie. Dlatego też istnieją pewnego rodzaju mężczyźni, którzy, znam się na tem bardzo dobrze, uważają mnie za niesłychanie nudną —są to wyfraczone manekiny, pływające po nowoczesnem życiu towarzyskiem, jak oka tłuszczu na rosole.

Ale jak mi Bóg miły! mnie oni nie bawia.

Echa płockie pouczają czytelników o charakterze posłów, wyborców i t. d. dość, że jak na początek ruch w kierunku Dumy mamy dość ożywiony i być może w przyszłych Rachunkach będę już mógł podzielić się z czytelnikami wrażeniami odgłosów walki wyborczej na szpaltach prasy prowincyonalnej, obecnie zaś wracając do normalnych mych zadań, pomówię choćby o kwestyi szkolnej.

Kwestya ta bynajmniej nie została rozstrzygniętą, wciąż jeszcze stoi na wokandzie spraw dnia. Z *Tygodnia* piotrkowskiego dowiadujemy się, że program nauczania w szkółkach początkowych dość jest urozmaicony, nietyle pod względem doboru przedmiotów, co techniki. Siedmioletnie dzieci zaczynają jednocześnie naukę czytania po polsku i po rosyjsku. Arytmetyki uczą się również podwójnie, gdyż myśląc i kombinując po polsku mówią i słuchają wykładu po rosyjsku. W końcu więc wszelkie umiejętności znikają i „skończony" wychowaniec szkoły początkowej nie umie nic, jeżeli tylko na szkole chce poprzestać. —

Nic też dziwnego, że stan taki powoduje ciągłe naprężenie i raz po raz wypadki niesłychane w historyi pedagogiki. *Goniec Łód.* doniósł np., że w Zduńskiej Woli dzieci opuściły masowo obie istniejące tam szkółki miejskie, w których pomimo reformy zachowano stare porządki. W *Gazecie Kaliskiej* znów czytam o wybiciu szyb i opuszczeniu klas przez dzieci w szkółkach i kantoracie Koła, *Kuryer Kaliski* wreszcie podał w zeszłą sobotę wiadomość o podobnych zajściach w samym Kaliszu, gdzie po opuszczeniu szkółek początkowych dzieciaki wybiły szyby w gimnazyach, szkole realnej i napotkanym po drodze sklepie monopolowym. Podobne wydarzenia dość chyba wymownie przemawiają za koniecznością szybkiego uregulowania sprawy przez władze, a one jednak grzebią się wciąż jeszcze w zawiłościach kancelaryjnych.

Ciekawe jest stanowisko różnych warstw społecznych wobec potrzeb szkolnictwa. Nowych szkół określonego charakteru a nadewszystko polskich żądają warstwy ludowe. Nie mówiąc już o uchwałach wielkiej ilości gmin podanych przez *Zorzę* i *Gazetę Świąteczną*, podkreślamy żądania szkół początkowych, postawione przez robotników Radomska, Łodzi i Pabjanic, gdzie w całym szeregu większych fabryk walka o szkołę i wogóle oświatę była jednem z haseł niedawnych ruchów.

Wobec stanowczego głosu warstw ludowych, którego echa przedostały się do prasy, dziwnie blado a często wprost niesympatycznie odbijają głosy warstw wyższych, szczególnie mieszczańskich. Czytamy np. w pismach łódzkich, że rodzice uczniów i opiekunowie 4-klasowej, niedzielnej szkoły handlowej proszą o zastosowanie do tej szkoły uchwał Komitetu ministrów lub też o *godzinę nauki języka polskiego tygodniowo!* Inny znów obraz mamy w Pabjanicach i Zgierzu gdzie szkoły handlowe są widownią ostrej walki narodowościowej pomiędzy rodzicami Polakami z jednej—a Niemcami i Żydami z drugiej strony. Obie wysyłają memoryały, prośby, skargi...

Choć zresztą bywają i jaśniejsze obrazki na tle walki o szkołę. W Łęczycy, jak donosi *Kuryer Kaliski* odbyło się liczne zebranie ziemian, mieszczan i włościan powiatu całego, gdzie uchwalono zebrać fundusz i starać się o pozwolenie na otwarcie szkoły prywatnej średniej. Szereg cały zgromadzeń przedstawicieli rozmaitych warstw ludności notuje prasa w wielu miejscach Królestwa.

Zaczynają się również zjawiać artykuły, omawiające skąd wziąć fundusze na założenie mnóstwa szkół, mających zastąpić dzisiejsze rządowe. *Kuryer Kaliski* radzi tworzenie towarzystw akcyjnych... i spółek udziałowych—inne organy przemawiają za włożeniem tego obowiązku na barki municypalności miejskich i wiejskich.

Mnie osobiście ten drugi projekt więcej do serca przemawia z tem jednak zastrzeżeniem, żeby przedtem zreformować do gruntu dzisiejsze municypalności, będące śmieszną karykaturą instytucyi samorządowych. Aby nie być gołosłownym, przytoczę pewne dane.

Wybór radnych i ławników miast naszych to coś, czego sam Mark Twain nie mógłby wymyśleć. Polega on na zasadzie dawno wydanego (w r. 1846) wyjaśnienia Komisyi spraw wewnętrznych zarządowi guberni warszawskiej co do sposobu dokonania wyboru. Wyjaśnienie to, wbrew wszelkiej logice i prawu, stało się przepisem obowiązującym dla wszystkich miast Królestwa. Na mocy tego wyjaśnienia wybory radnych i ławników są przeprowadzono na zasadzie porozumienia się „w miastach powiatowych około 15 a w mniejszych koło 1) znaczniejszych obywateli oraz kupców i fabrykantów", trzeba dodać zapraszanych przez prezydenta lub burmistrza, przed którymi wobec tego mogą być jedynie odpowiedzialni.

Jak owe zarządy, dobrane za porozumieniem się mianowanych przez burmistrza „znaczniejszych obywateli", działają—możemy widzieć z bardzo dobrego artykułu *Gazety Kieleckiej.* Artykuł ten podaje wprost potworne cyfry stosunku wydatków miejskich na oświatę wraz ze wszystkimi celami kulturalnymi do wydatków administracyjnych miasta. Dowiadujemy się, że na ogólną sumę 725.202 rb. rocznie wydawaną w miastach po za Warszawą, na wszystkie cele kulturalne i oświatowe idzie zaledwie 67,131 rb. t. j. 9,3% podczas gdy samo utrzymanie zarządów miejskich kosztuje 484,962 rb. co stanowi 67,9%. W poszczególnych zaś miastach na każdy rubel, wydatkowany na cele kulturalne, przypada na koszta administracyi:

w Łodzi	10,4 rb.
„ Piotrkowie . .	3,6 „
„ Kaliszu . . .	2,4 „
„ Radomiu . . .	4,9 „
„ Lublinie . . .	6,9 „
„ Suwałkach . .	11,8 „
„ Płocku . . .	3,6 „
„ Łomży . . .	7,9 „
„ Kielcach . . .	13,0 „
„ Siedlcach. . .	14,4 „

Tabelka chyba dość wymowna. Jeżeli zaś do tego dodamy takie fakty jak choćby ten, że przeszło 400-tysięczna Łódź napróżno czeka na kanalizacyę, stutysięczny Sosnowiec—na bruki, a są miasta dziesięciotysięczne, jak Zamość, które nie mogą w ciągu lat dwudziestu kilku przenieść do miasta urzędu pocztowego odległego o trzy wiorsty, to mimowoli zadrżymy o los szkolnictwa. To też przed radykalną reformą w tej dziedzinie marzyć o tem byłoby conajmniej lekkomyślnością.

O tej reformie piszą wiele, mnóstwo nadziei w niej pokładają, choć co do tych nadziei uśmiechają się ironicznie choćby mieszkańcy Zduńskiej Woli, czekający od lat trzech z cierpliwością Penelopy odpowiedzi z urzędu powiatowego na podaną przez nich prośbę o założenie Towarzystwa dobroczynności w tem przeszło 20-tysięcznem mieście. Ale o to mniejsza. Jeśli przeniesiemy się na wieś, ażeby tam poszukać faktów z życia społecznego, choć trochę przyjemniejszych niż w mieście, to niestety doznamy gorzkiego zawodu.

Weźmy choćby kredyt włościański. Jak wykazuje *Tydzień*, włościanin nasz na tem polu jest wprost niesłychanie skrzywdzony. Po za kasami gminnemi w całym kraju stowarzyszeń kredytowych, będących na usługach włościan, mamy aż 17, z których 11 — w gub. Płockiej.

Dla porównania powiemy, że w „nędznej", „zacofanej" Galicyi poza kasami gmin-

---

Czy też jeszcze kiedy spotkam człowieka, na którego widok zadrży mi serce? Ach, nigdy! I nawet nie pragnę wcale! Myśl niemożliwa! Nowy człowiek! Znowu przechodzić tę ciężką, niesłychanie trudną rzecz, jaką jest poznawanie nowego człowieka. Życie pozostawia tyle śladów na duszy, przeżywa się tyle dobrego i złego. Jakież to przykre i trudne zadanie wszystko to przedłożyć nowemu człowiekowi i nawzajem jego pojąć i zrozumieć. Nie, to niepodobieństwo!

Bo, chociaż miłość zniknie, z życia swego nikt nie wymaże małżeństwa!

Nic się nie da zmazać, nawet najdrobniejszy szczegół, niedopieroż wieloletnie, najpoufalsze, wspólne życie. Nie, nigdy nie mogłabym sobie wyobrazić siebie w nowym stosunku do jakiegoś mężczyzny! Nigdy już więcej nie mogłabym kochać. Jestem zimna. Przestałam być kobietą.

Doszedłszy do tego przekonania, wydobyłam na jaw swoje drobne talenty i poczęłam je uprawiać. Nazywałam to swoją pracą, a ta praca miała mi odtąd wypełniać życie. Dzieci wkrótce dorosną, osamotnienie moje będzie jeszcze straszniejsze, trzeba się zabrać do rzeczy — zapełnić sobie czas pracą, żyć życiem godnego człowieka, wolnego, samodzielnego.

Tak brzmi recepta dla nowoczesnej kobiety. Jest coś, noszącego nazwę miłości ojczyzny, ono nie powinno być obce kobiecie. Jest coś, nazywającego się społeczeństwem. Ojczyzna i społeczeństwo stawiają tysiączne wymagania zdolnym do pracy obywatelom a więc i kobietom. Przejąć się wielkimi ideałami, uczynić z siebie ofiarę ojczyzny i cierpiącej ludzkości — oto najważniejsze zadania kobiety.

Miałam teraz dość czasu, rzuciłam się więc w szeregi pracowniczek i stałam się jedną z najgorliwszych działaczek na polu dobroczynności. Chciałam, pragnęłam, musiałam zapełnić próżnię, którą było moje życie!

Całą jedną zimę kręciłam się po komitetach i stowarzyszeniach, biorąc gorliwy udział w wszelkiego rodzaju urządzeniach na dochód ubogich i chorych. Zwłaszcza byłam chętną do służenia moim dyletantyzmem w artystyczno - literackich przedstawieniach. Spędzałam czas wśród mnóstwa ludzi, dzieląc siebie samą na liczne, małe porcyjki w dobroczynnych celach; wieczorami wracałam sama do domu, znużona, chora na duchu, stawałam przed łóżeczkami dzieci, odczuwając przytłaczający smutek i opuszczenie. Patrzcie, jaką macie matkę!—mówiłam do nich w duchu—niema w niej ani jednej całkowitej myśli. Składa się z tysiąca kawałeczków, które porcyami na targ wystawia. Czemże ona może być dla was? Przechodziłam do siebie pełna nieopisanej męki i czułam, że tego nie zniosę dłużej. W mysią norę się schować byle nie to! Byłam znużona, wymizerowana, bez duszy! Inne kobiety mogą być bardzo użyteczne, energiczne, pomysłowe, coś działają. I to sprawia im zadowolenie. Mnie zaś to wszystko nie odpowiadało; nie nadawałam się do tego, jak do niczego innego.

Czyż więc nigdy już nie będę się czuła silną, wesołą?

(C. d. n.).

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*



nemi istnieje 140 stowarzyszeń zaliczkowych i 177 kas Reifeisenowskich. Czyli razem mamy tam 317 stowarzyszeń ze 186 tysiącami członków — wobec 17,212 członków w Królestwie. Dodamy, że cyfry galicyjskie są z przed lat trzech, a nasze obecne.

Ze stosunków wiejskich wreszcie warto dać obrazek naszej kultury. Jest to cyfra pożarów w roku zeszłym, zaczerpnięta ze sprawozdania Zarządu ubezpieczeń wzajemnych w Królestwie.

Pożarów było 5,509 i dotknęły one 137,011 rodzin, zniszczywszy 31,301 budynków. W liczbie tej pożarów zbiorowych było 58, a pastwą ich stało się 8628 budynków.

Cyframi temi zamykam dzisiejsze „Rachunki".

J. Dąbrowski.

Wybory w Katowicko-zabrskiem.

Zwycięztwo Korfantego jest obecnie niewątpliwie najwybitniejszym faktem w życiu społeczeństwa polskiego pod berłem pruskiem. Posiada ono znaczenie niemal historyczne, gdyż nada kierunek całemu rozwojowi politycznemu Górnego Śląska przynajmniej na szereg lat najbliższych.

Powodzenie Korfantego było najzupełniejszą niespodzianką nietylko dla jego przeciwników, ale i dla zwolenników, którzy przed 12-tym października przemawiali w bardzo minorowym tonie, nie rokując Korfantemu zdobycia mandatu katowicko-zabrskiego bez uciekania się do czyjejś pomocy. Bo też istotnie położenie jego w przededniu wyborów, na ogół biorąc, było daleko gorsze, niż przed trzema laty.

Uprzytomnijmy sobie dokładnie ówczesną sytuacyę. Hasło łączności Górnego Śląska z innemi prowincyami polskiemi było podówczas nowem, wywołującem zapał powszechny. Korfanty był żywem upostaciowaniem tego hasła, przedstawicielem idei niezmiernie sympatycznej dla całego ogółu. Kontrkandydatami jego byli: przedewszystkiem niemiecki centrowiec Letoch, doskonale znany, następnie kandydat socyalistów Morawski. Pierwszy jako długoletni poseł centrowy zdążył gruntownie rozczarować do siebie swych wyborców-Polaków, drugi, siedząc w więzieniu, pozbawiony był nawet możności agitowania za sobą. Jeśli stanowisko centrowców było silne dzięki ustalonej tradycyi ich panowania na Górnym Śląsku, to położenie partyi socyalistycznej, finansowo ubogiej, od bardzo niedawna działającej systematycznie w przemysłowym okręgu górnośląskim, nie posiadającej lokalów na zgromadzenia, osłabionej przez wrogie Polakom prądy socyalhakatystyczne, idące z Bytomia, gdzie podówczas rezydował smutnej pamięci dr. August Winter — było bardzo niepewne. Zdawało się więc, że Korfanty powinien był liczyć się tylko z centrowcami. I istotnie centrowcy dzięki zdradzieckiej polityce „Katolika" zdobyli najwięcej głosów, Korfanty zaś został wybrany jedynie dlatego, że go socyaliści poparli przy ściślejszem głosowaniu.

Był on jedynym posłem polskim, wybranym pod hasłem łączności Górnego Śląska z resztą prowincyj polskich, pod hasłem „precz z centrum", butnie rzuconem przez „Górnoślązaka". Zamiast 3—4 mandatów, na które liczyli narodowi demokraci, zdobyto tylko jeden — i ten nawet nie samodzielnie, lecz z pomocą przeciwników politycznych. W obozie więc zwolenników emancypacyi Górnego Śląska zapanowało pewne przygnębienie, co pozwoliło „Katolikowi" i zbliżonym do niego żywiołom przedsięwziąć akcyę, skierowaną ku zapewnieniu centrum dawnego wpływu.

Korfanty, znalazłszy się w parlamencie, nie ziścił tych nadziei, jakie przywiązywano do jego wystąpienia. Z radykalnego demokraty bardzo szybko przekształcił się w optymistę tuzinkowego, bladł i płowiał z dnia na dzień, a w pracy agitacyjnej na Górnym Śląsku stał się pospolitym demagogiem, walczącym brudnemi kłamstwami, oszczerstwami i t. p. sztuczkami z bogatego arsenału „Słowa Polskiego" i „Przeglądu Wszechpolskiego". Bardzo szybko zorventowano się, że ten pojętny uczeń Dmowskich, Balickich, Popławskich i t. d. nie jest bojownikiem, zdobywającym sobie szacunek nawet u przeciwników.

Położenie na Górnym Śląsku poczęło się układać na niekorzyść Korfantego. Centrum, widząc, że dotychczasowa taktyka zawodzi, wzięło się do sztuczek, mających pozyskać żywioły „umiarkowane" wśród Polaków. Czytelnicy „Prawdy" znają dokładnie tę kampanię, rozpoczętą przez ks. Stephana, a prowadzoną dalej przez redaktora „Katolika" Napieralskiego—w nieco odmiennej niż dotychczas formie. Akcya ta musiała wprowadzić pewien rozstrój do obozu narodowego, składającego się z żywiołów dość różnobarwnych, i podkopywać wpływ Korfantego. Nie dość na tem, pomiędzy Korfantym a jego dotychczasowymi towarzyszami pracy wynikały nieporozumienia na tle osobistem. Ambitny poseł katowicki opuścił redakcyę „Górnoślązaka" i założył pismo konkurencyjne w tych samych Katowicach — „Polaka", mogącego ze względu na nieuczciwość polityczną stanąć godnie obok lwowskiego „Słowa Polskiego".

Tymczasem i działalność zwolenników Morawskiego w okręgu przemysłowym rozwinęła się na szerszą skalę. Usunięcie się z widowni dra Wintera położyło kres rozwojowi socyalhakatyzmu i umożliwiło harmonijną działalność polskiego i niemieckiego odłamu tego obozu. Pozyskanie w Katowicach a zarazem i w paru innych miejscowościach stałego lokalu do zebrań, osiedlenie się paru nowych sił agitacyjnych, wreszcie przeniesienie na Śląsk z Berlina zarządu stronnictwa—wszystko to stwarzało warunki, mogące utrudnić Korfantemu jego działalność i podkopać jego wpływy...

A jednak Korfanty zwyciężył, zdobywając za jednym zamachem 23,200 głosów, czyli dwa razy więcej, aniżeli w r. 1903-im (11,579). Głosy centrowców stopniały z 19,719 do 8,841, socyalistów z 10.041 do 4,770. Porażka kontrkandydatów Korfantego jest zupełna i nadzwyczaj dotkliwa. Ze strony socyalistów stawał do walki o mandat ten sam Morawski. co i w r. 1903, ale kontrkandydatem-centrowcem był już nie Letocha, lecz człowiek, daleko bardziej, zdawałoby się, dla Korfantego niebezpieczny, ks. Kapica, niczem dotychczas nie skompromitowany w oczach wyborców, znany szeroko jako działacz społeczny, szerzyciel zasad abstynencyi. Ksiądz Kapica agitował za sobą w bardzo umiarkowany sposób, nie drażniąc uczuć narodowych ludu i nawet występując stale z obietnicami obrony interesów polskości w parlamencie. A jednak ten ksiądz został odrzucony przez katolicką ludność Górego Śląska, pomimo że „Katolik" zupełnie niedwuznacznie go popierał, oświadczywszy się przeciw wyborowi Korfantego.

Prawdą jest, że Korfanty w swej agitacyi nie cofał się przed żadnym wybiegiem demagogicznym, że miał do pomocy całe zastępy agitatorów, przybyłych nawet z po za Śląska—jak sokoli poznańscy z p. Rzepeckim na czele, ale to nie tłomaczy bynajmniej ani jego zwycięztwa, ani tej olbrzymiej ilości głosów, jaką zdobył. Przyczyna jego powodzenia tkwi w tem, że w odróżnieniu od innych kandydatów był on reprezentantem zupełnie wyraźnego, zrozumiałego nawet dla najciemniejszych wyborców polskich hasła „precz z Niemcami". Albowiem rozwój polityczny Górnego Śląska poszedł w ostatnich latach w tym kierunku, że walka narodowościowa, walka żywiołu polskiego z niemieckim, usunęła wszystkie inne względy na plan dalszy. Widzieliśmy, jak niemieccy wyborcy centrowi buntowali się przeciwko swym przywódcom, kiedy podejrzewali ich o chęć czynienia ustępstw Polakom, jak głosy katolickich wyborców niemieckich padały na kandydata-protestanta, którego niemieckość nie ulegała żadnej wątpliwości. Tak samo wyborcy-Polacy rezygnowali z zadośćuczynienia swym dążnościom społecznym, byle wybrać posła-Polaka, który nie wejdzie do żadnego klubu niemieckiego, który będzie reprezentował polskość Górnego Śląska i łączność tego ostatniego z resztą prowincyj polskich. Oto tajemnica zwycięstwa Korfantego. I w tem zwycięztwie leży wskazówka co do kierunku najbliższej fazy rozwoju Górnego Śląska.

Że sprawa narodowościowa usunęła na plan dalszy względy wyznaniowe, pozbawiając ks. Kapicę 11 tysięcy głosów, które posiadał jego poprzednik Letocha, i społeczne, zmniejszając głosy Morawskiego przeszło 2½ raza, na to mamy jeszcze jeden dowód. Oto bardzo dużą stosunkowo liczbę głosów otrzymał Volz—rządowiec, występujący pod sztandarem hakatyzmu. Kiedy w roku 1903-im kandydat niemiecki, Schreider, zdobył zaledwie 3.042 głosy, na Volza padło aż 7,627. Tłomaczy się to poprostu tem, że hakatystycznie usposobieni centrowcy woleli głosować za Volzem, niż za ks. Kapicą, obiecującym — szczerze czy obłudnie, bronić Polaków.

„Polak" Korfantego nie posiada się z radości, omawiając zwycięztwo 12-go października. Umilkną puszczyki—powiada on—którzy od zielonego stolika, nieznając ludu i serca jego, w najniewłaściwszym czasie rozpisywali się o słomianym ogniu na Śląsku i już zacierali ręce z radości by módz się ogłosić dobrymi prorokami i wielkimi politykami. Myśmy lepiej znali usposobienie ludu, bo szliśmy od wioski do wioski, od miasta do miasta i, rozmawiając z ludem widzieliśmy, jaki panuje sentyment, jaki nastrój i zapał. Dzień 12-go października będzie dniem wiekopomnym nietylko w dziejach ludu górnośląskiego, ale w dziejach całego narodu naszego. Po ośmiu wiekach lud polski na Śląsku, pogardzany, wyzyskiwany wciąż przez obcych, przemówił głosem olbrzyma: ja jestem ludem polskim, żyjącym na ziemi polskiej! Panowie Prusacy, wasze miliony, wasza polityka germanizatorska, wasza ciężka ręka nie zdołała nam wydrzeć tych skarbów świętych, któreśmy po przodkach odziedziczyli. Dziś powietrze się przeczyściło. Wybory ostatnie odbyły się pod hasłem: tu Polak—tam Niemiec! Zwyciężył Polak! Zwyciężył lud polski i wszystkim niedowiarkom i małodusznym wskazał drogę, którą w przyszłości w polityce naszej kroczyć winni". W podobny sposób pisze „Górnoślązak" i „Głos Polski" Siemianowskiego.

Ciekawem jest stanowisko „Katolika". Zwycięztwo Korfantego było dlań najzupełniejszą niespodzianką i nielitościwie pokrzyżowało plany Napieralskiego. Wobec zapału, jaki to zwycięztwo wywołało, wobec optymizmu, jaki teraz zapanował, sprytnie pomyślana intryga Napieralskiego i jego przyjaciół centrowców, kruszy się jak grudka piasku. Układać się o odstąpienie części mandatów Polakom pod upokarzającymi dla tych ostatnich warunkami, w chwili kiedy „Polak" i „Górnoślązak" są pewni, że najbliższe wybory pociągną za sobą zupełne wyrugowanie centrum z Górnego

Śląska—jest zadaniem dość niewdzięcznem. To też „Katolik" dyplomatycznie wycofywa się ze swego stanowiska.

Wybory w Katowicko-zabrskiem poruszyły ogół niemieckiej opinii publicznej. Cała prasa zajmuje się nimi, ale we wszystkich jej głosach tak konserwatywnych, jak centrowych i liberalnych znać zupełne niezrozumienie powodów klęski Niemców. Organ rządowy „Norddeutsche Allgemeine Zeitung" wraz z liberalną „National Zeitung" napadają na centrum, które swem wrzekomem polakofilstwem rozwydrzyło Polaków na Górnym Śląsku. Centrowa „Schlesische Volkszeitung" pisze, że zwycieztwo Korfantego zaskoczyło wszystkich i traktowane jest w kołach niemieckich jako zagadka. „Oberschlesischer Vanderer" wpadł na dowcipny pomysł wytłomaczenia porażki ks. Kapicy tą okolicznością, że lokale wyborcze były urządzone przeważnie w oberżach i restauracyach, których właściciele agitowali przeciwko kandydatowi centrum, jako przeciwko apostołowi wstrzemięźliwości. Po za tem pisma skłonne są tłómaczyć wybór Korfantego nieuświadomieniem ludu polskiego, któremu imponuje każdy demagog, operujący radykalnymi frazesami. Istotnego znaczenia zwycięztwa Korfantego prasa niemiecka nie rozumie—i wniosków na przyszłość z niego nie wyciąga.

L. Wasilewski.

Schronisko dla mężczyzn.

W Wiedniu, gdzie drożyzna mieszkań spowodowała wśród uboższej ludności tak opłakane stosunki, że w r. 1900 liczono blizko 70 tysięcy osób wynajmujących tylko na noc „łóżko" w cudzem mieszkaniu i to najczęściej w pokoju, w którym sypia rodzina gospodarza a nawet i parę obcych, otworzone zostało pierwsze „schronisko dla mężczyzn". Ma ono być próbą polepszenia stosunków mieszkaniowych, nie drogą filantropii, lecz przez skierowanie kapitału w nowe dziedziny, przed któremi się dotychczas trwoży i waha mimo zachęty, jaką dało mu prawo o ulgach podatkowych dla mieszkań robotniczych z r. 1892. „Schronisko" wybudowane z funduszu jubileuszowego ces. Franciszka Józefa może przy całkowitem obsadzeniu dawać 4 proc. od włożonego weń kapitału 560,000 koron. Inicyatorzy jego, nie zrzekając się normalnego dochodu, naśladowali angielskie wzory tak zw. Rowtańskich domów, rozpowszechnionych na całym kontynencie a świadczących, że rozumem kierowana dobra wola, wiele pożytku przynieść może — nawet i bez głębszego sięgania do worka.

„Schronisko" przynieść ma na razie pomoc właśnie najuboższym, zmuszonym wciskać się w cudze domostwa, wyzbyć się wstydu i znosić tysiączne przykrości przez blizkie zetknięcie się z obcymi, którzy im udzielają „noclegu" by dodać parę groszy do czynszu, ale intruza znoszą niechętnie. I pewno znaczna część tych ludzi, co późną nocą jeszcze zalegają szynki, podpierając senne głowy na ręku, zwleka z odejściem nieraz tylko z niechęci przed noclegiem w izbie pełnej przykrych wyziewów, brudnej i cudzej. „Schronisko" daje im — a musi być to zasadą tego rodzaju instytucyi—do rozporządzenia oddzielne przedziały na noc a wspólne sale do przebywania za dnia— i w samej tej możności odosobnienia się i dachu nad głową za dnia leży już jego wyższość nad mieszkaniem kątem i masowymi kwaterami.

Czynsz tygodniowy wiedeńskiego schroniska wynosi 2 korony 50 halerzy (1 korona = 40 kopiejek). Jest to taka sama cena jaką robotnicy i rzemieślnicy płacą przeciętnie za „łóżko" lub nocleg tygodniowy w kwaterach, zwanych tu szumnie hotelami robotniczymi — ale w schronisku daje ona jeszcze prawo korzystania z mnóstwa udogodnień.

Przedewszystkiem wymienić należy salę jadalną, obliczoną na 180 siedzeń. Można tu wygodnie spożyć sprzedawane na miejscu po cenach przyjętych w tanich garkuchniach jadło i napoje, z wyjątkiem alkoholu. Dookoła zaś stoją gazowe kuchenki, naczynia do gotowania, umieszczone są wodociągi z zimną i letnią wodą. Mieszkaniec schroniska może sobie tutaj, bez osobnej dopłaty, przyniesione z miasta potrawy przygrzać lub zgotować.

Do jadalni przylega czytelnia dla palących i druga dla niepalących z biurkami, na których są rozłożone pisma i książki z biblioteki schroniska. Dla amatorów zaś na stolikach leżą warcaby, domino i młynek.

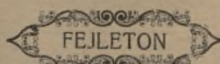
Pokój do czyszczenia sukien i obuwia, z umywalkami daje lubiącym czystość możność oczyszczenia w ciągu dnia odzienia, *garderoba* z dwustu szafami pozwala zamożniejszym umieścić swą bieliznę i suknie, a w przyległym do niej pokoju można się przebrać.

Schronisko jest domem czteropiętrowym. W 24 wielkich salach umieszczono 544 przedziały do spania, z których każdy ma 4 kwadratowe metry powierzchni i 12 sześciennych metrów powietrza. Między poszczególnymi przedziałami jest 2 metrowa przegroda od sąsiada i wspólnego przedsionka. Urządzenie składa się z łóżka żelaznego z takimże materacem, poduszki, dwóch prześcieradeł, kołdry, stolika nocnego i wieszadła.

Na każdem piętrze umieszczone są pokoje do mycia z miednicami, lustrami i zawieszonymi na kółkach ręcznikami. Każdy przychodzeń za kaucyą 60 halerzy dostaje osobny ręcznik.

W godzinach wieczornych lekarz zakładowy, w umyślnie na ten cel urządzonym pokoju ordynacyjnym, udziela bezpłatnej porady lekarskiej. Wstęp do pięter z sypialniami dozwolony jest tylko od godziny 8 wieczór do godziny 9 rano. Resztę czasu wolno mieszkańcom spędzać tylko w salonach wspólnych, dużych, widnych, mogących służyć i do nauki i do rozrywki. Możność pobytu tutaj niejednego zapewne uchroni od pijaństwa, choroby, od zupełnego upadku fizycznego i moralnego, który nędza mieszkaniowa pociąga za sobą, w niejednym może wywołać tęsknotę za lepszym bytem, pobudzić go do usiłowań wzięcia udziału w dobrach materyalnych i moralnych społeczeństwa, do którego należy. I dlatego instytucyom takim życzyć trzeba rozpowszechnienie, choćby się nawet wiedziało dobrze, że są one—ziarnkiem piasku w morzu.

hgl.



LIBERUM VETO.

Tak rzekł naród.

Druchu i natężeniu organizmu uwydatniają się jego mięśnie i kości; w ruchu i natężeniu społeczeństwa uwydatniają się jego żywioły. Jak wiadomo, uorganizowana zbiorowość ludzka jest obecnie klasową. Walka owych klas, która nie ustaje ani na chwilę i stanowi główną formę rozwoju ekonomicznego, zaostrza się szczególnie wtedy, kiedy między nie ma być rozdzielone jakieś dobro życia. Wówczas każda z nich stara się zdobyć dla siebie największą jego część; wówczas drzemiąca lub uspokojona ich wzajemna nienawiść budzi się i rzuca je w bój zażarty. Po części już jesteśmy a wkrótce jeszcze bardziej będziemy świadkami takiego widoku. Powołanie przedstawicieli Król. Polskiego do Dumy państwowej—podrażniło uczucia klasowe. Warstwy, uprawnione cenzusem wyborczym, który odsieje wszystek piasek i żwir ludowy, pozostawiając tylko grube bryły, gotują się do wyłącznego opanowania nowej pozycyi z tym egoizmem i brutalnością, które aż dziwią w tak młodej gromadzie bokserów politycznych. Jeżeli zastanowimy się nad niecnotami i brakami tegoczesnej kultury, dostrzeżemy łatwo, że ona nęka nas nietyle swoją niemocą, ile raczej otwieraniem w naturze ludzkiej swobodnego ujścia najniższym popędom. Moglibyśmy żyć we względnem zadowoleniu i z niedostatkami naszej wiedzy, i z wszystkiemi dokuczliwościami naszych urządzeń i stosunków, gdyby warunki bytu nie hodowały w nas ze szczególną troskliwością bezwstydnego samolubstwa. Kto chce do nich rzeczywiście dopasować się, musi być egoistą, gwałcicielem, wyzyskiwaczem, rozbójnikiem dbałym tylko o to, ażeby narzędzia jego zbrodni miały pochwę prawnie zabezpieczoną a jego ofiary nie mogły zduszonem gardłem wydać zbyt mocnego krzyku. Człowiek dzisiejszy rodzi się lepszym od swego otoczenia społecznego, ale umiera gorszym. Jego życie jest ciągłem truciem i zakażaniem szlachetniejszych pierwiastków duszy. Powtarza mu ono ciągle: „jeśli chcesz zwyciężyć, bądź zuchwałym i nie przebaczaj, nie wzruszaj się i nie rozczulaj; bądź cynikiem, ale nigdy idealistą; rozglądaj się uważnie, gdyż można z powodzeniem a bez ryzyka uderzyć maczugą i zmiażdżyć jakieś istnienie, po którem siłą lub prawem weźmiesz spadek". Tak czynią nietylko jednostki, tak czynią również klasy społeczne. Ich okrucieństwo, egoizm, nienawiść, ich ostre uzębienie, którem wzajemnie się gryzą i rozszarpują, niedaleko odeszło od dzikości zwierzęcej. Jednorodne gatunki społeczne przerzucają sobie wzajem uczucia powinowactwa i przyjaźń przez sprzeczności i zatargi narodowe, polityczne i szczepowe. Na mozajce państw i ludów odbija się całkiem od niej niezależna i odmienna mapa klas społecznych, stanowiących zamknięte w sobie całości. Gdy we Francyi lub Anglii odbywają się wybory do parlamentu, nad Wisłą serca drżą niepokojem o ich wynik.

W ostatnich miesiącach żaden wyraz nie był w prasie i życiu tak często umieszczany w uroczystych transparentach, jak „naród". Bo ten „naród" ma „wyrazić *swoją* wolę" zapomocą wyborów na podstawie cenzusu, dopuszczającego do nich posiadaczów kosztownych mieszkań, właścicieli fabryk i majątków ziemskich, bo ten „naród" ma wysłać do Dumy „*swoich* najlepszych mężów", których „obdarzy *nieograniczonem zaufaniem*"; bo ten „naród" zamierza „postawić *swój własny* interes nad interesami jednostek i stronnictw", bo ten „naród" odwróci się „z oburzeniem i pogardą" od wszystkich którzyby nie usłuchali „*jego* nakazu". Ten zaś „naród" składa się z całego społeczeństwa—oprócz: ludu wiejskiego i miejskiego, który stanowi około 80% ogółu a nic nie wie ani o „swojej woli", ani o „swoich najlepszych mężach", ani o „swoim własnym interesie"; dalej oprócz masy drobnych rzemieślników, przekupniów, służących, inteligencyi pierwszego stopnia i innych żywiołów, niemających wcale zamiaru obdarzać delegatów „nieograniczonem zaufaniem" a

przedstawiających około $15^0/_0$, nadto oprócz inteligencyi wyższych stopni, która nie chce mieć nic wspólnego z żadnemi szalbierstwami „w imieniu narodu”, a która wynosi około $3^0/_0$; czyli po strąceniu $98^0/_0$ otrzymamy wreszcie ten „naród”, który tak nam imponuje i tak stanowczo narzuca swoją wolę. Przez osłony pychy łatwo dostrzedz, że jest on połączeniem paru klas społecznych, które bez wielkiego dla nich uszczerbku można skupić w jednej. Są to t. zw. obszarnicy, grubsi przemysłowcy i kupcy, księża, wogóle wszystko to, co ma większą własność nieruchomą, i co wprost lub ubocznie z niej żyje. Kłamliwemi i wrzaskliwemi ustami tego „narodu” są służące mu organy prasy, które w sztuce podstawiania *partis pro toto* dochodzą do nadzwyczajnej odwagi i bezczelności. Dzięki tym wypróbowanym środkom opinia publiczna daje się poprostu zahukać, zakrzyczeć, zahypnotyzować i z naiwnością dzieci wierzy, iż w artykułach agitatorskich, w krzykliwych mowach słyszy istotnie głos „narodu”. Może nigdy jeszcze świat nie oglądał takiej redukcyi społeczeństwa ludzkiego, jak obecnie u nas, gdzie nieraz bywa ono wtłoczonem w jedną osobę dziennikarza, który woła od siebie: naród żąda, naród każe...

Przypuszczam, że pomiędzy tymi dwunożnymi „narodami” są, nawet dość liczne, jednostki rzeczywiście przekonane, że przez nie mówi ogół a przynajmniej znaczna większość spółziomków. Nie zmienia to przecież faktu, że takie rzecznictwo jest w najlepszym razie złudzeniem, zwykle zaś—lekkomyślnością i zuchwalstwem. Ze wszystkich też rzeczy, dających się podrabiać, najczęściej fałszowanym bywa patryotyzm. Znałem wielu, którzy pod tym wyrazem rozumieli wysokie cło na porcelanę lub surowe kary na parobków za opuszczenie służby. Dobrem kraju nazywa się u nich poprostu dobro osobnika lub klasy. Niech mi daruje szczerość legion deklamatorów, którym do języka przyrosły słowa: miłość ojczyzny, troska o interes społeczny i t. p. są to według mnie tak puste dźwięki, jak świsty wichru jesiennego. Ci, którzy mają prawo owych słów używać, istnieją, ale wyjątkowo. Wątpię, czy na tysiąc obywateli naszego kraju wypada jeden, którýby miliony objął swem sercem, któryby życzył dobrze całemu narodowi. Są to niezmiernie rzadcy humaniści, ideolodzy, ludzie, którzy swoim głębokim rozumem wyrównywają sprzeczności a swojem gorącem uczuciem roztapiają różnice ekonomiczne, rasowe, religijne, społeczne i równouprawniają wszystkich wobec praw życia. Naokoło nich rusza się nieprzeliczony tłum kastowiczów, sekciarzy, klasowców, wreszcie samolubów, którzy niezmordowanie wrzeszczą: tak mówi naród, a to mówią tylko oni. Przyjrzyjcie się i przysłuchajcie uważnie podobnym głosom w harmidrze wyborczym. Zrozumiecie je...

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Psychologia pesymizmu.

Problemat pesymizmu wobec przeważnego teoryopoznawczego stanowiska w filozofii nowoczesnej został już nietylko usunięty na jakiś plan trzeciorzędny, lecz poprostu zapomniany. Podczas gdy jeszcze przed niewielu dziesiątkami lat dużo i szeroko rozprawiano i pisano na ten temat, panuje obecnie na tem polu głuche milczenie.

Wprawdzie nieco głębsze wejrzenie w twórczość chociażby nowoczesnych Niemiec i Skandynawii mogłoby nasunąć niejedną refleksyę, ściśle z zagadnieniem pesymizmu związaną, wprawdzie i naszą drzemkę niepokoją nagłe i nieoczekiwane perspektywy próchna i popiołów, nikt jednak z mężów „czystego poznania” nie zdradza chęci traktowania tych zjawisk „na seryo”. Działa tu prawdopodobnie nietylko nasza trzeźwa nieufność względem tyle zawodnych spekulacyi filozoficznych, lecz i niejasne, przyćmione obawy napotkania w głębi życia rzeczy co najmniej niepożądanych.

A może zresztą zbyt pośpieszne, zbyt powierzchowne przyniosła nam uspokojenie nowa jutrznia „żądzy mocy”. Zbyt pochopnie, zbyt łatwo w zgiełku wszelakich „przezwyciężeń”, „przeszacowań” doby obecnej uwierzyliśmy w feljetonowy pomysł, że pesymizm został „przezwyciężony” w grocie Zarathustry. Niepamiętni, że owa „żądza mocy” była tylko bardzo indywidualnym etapem, momentem w ewolucyjnym szeregu przesłanek pesymistycznych (żądza, wola) życia Schopenhauera — żądza śmierci Mainländera—i, jako ostatni bohaterski wyraz *pesymizmu siły*, żądza mocy (Nietzschego), święcimy przedwczesne tryumfy.

Nie ulega wątpliwości, że nauce, jeżeli tylko chce ona utrzymywać się na poziomie życia, nie wolno w mniej lub więcej zręczny sposób omijać jednego z jego najgłębszych a bodaj najgłębszego zagadnienia. Musi ona wyrzec się swego wygodnego obojętnie-dostojnego „non liquet”. Musi to uczynić z dwu względów: z uwagi na powszechność zjawiska, pesymizm nie jest bowiem „naleciałością”, modą, jak to tu i owdzie usiłowano w naiwnych wmówić, lecz zjawiskiem stałem, napotykanem w twórczości artystycznej wszystkich czasów i ludów: w systematach religijnych, w koncepcyach filozoficznych nawet „optymistycznej” Grecyi, wreszcie w oceanie „mądrości ludowej”, znajdującej wyraz w podaniach, przysłowiach, wierzeniach — zewsząd wychylają się głowy hydry pesymizmu.

Powtóre, ze względu właśnie na swój wciąż rosnący krytycyzm, swoją nieufność zasadniczą nauka nie może zadowolić się lada kwiatkiem deklamatorskim w rodzaju tego, że „natura wszystkimi dzwonkami kwiatów i wszystkiemi gardłami ptaków wydzwania i wykrzykuje optymizm—bezgraniczny optymizm, będący poglądem zasadniczym człowieka, jego uczuciem instynstynktownem (!) etc.” Ten patos paradoksalnego pana Nordaua spotkał się z zasłużoną odprawą ze strony niedawnego twórcy „filozofii optymistycznej” E. Miecznikowa. Tego rodzaju poglądy—mówi ten badacz — nie uwzględniają, że pesymizm, po to aby być prawdziwym, nie może być w jednakowym stopniu odczuwany i oceniany przez wszystkie istoty żyjące. Ptaki i inne zwierzęta, cieszące się ze swego istnienia, t. zw. optymiści, nie mają najmniejszego pojęcia o nieuniknionej śmierci. Nasi przodkowie w pieczarach również nie przeczuwali czegoś podobnego. Jeżeli zaś przeważająca większość obecnej ludzkości jest bardzo optymistyczna, pochodzi to być może stąd, że znajduje się ona w jednym z trzech okresów iluzyi, o których mówi Hartmann. Dopiero na wyższym stopniu rozwoju człowiek przekonany o znikomości wszystkich swych nadziei, wysnuwa pesymistyczny pogląd na świat.

Rzetelna nauka nie może w dalszym ciągu zadowolić się zdawkowym komunałem, dotyczącym niezbędności roli, jaką odgrywa cierpienie w ogólnej ekonomice życia ze względu na swą funkcyę ostrzegawczą. Zaprzeczyć temu wprawdzie niepodobna, lecz należy pamiętać, jak to słusznie zauważył Miecznikow, o niezwykle wadliwej organizacyi tej funkcyi bólu u zwierząt i ludzi. Niektóre błahe dolegliwości np. pewne neuralgie, wywołują nieznośne cierpienia; zjawisko fizyologiczne porodu występuje w towarzystwie nadzwyczaj silnych bólów, które jako „ostrzegawcze przed niebezpieczeństwem”, są bezwzględnie nieużyteczne. Tymczasem niektóre najcięższe choroby, np. rak lub zapalenie nerek, rozwijają się przez czas dłuższy, nie wywołując najmniejszych bólów i dopiero wtedy zwracają na siebie uwagę chorego, gdy już jest zapóźno, aby je usunąć.

Intelektualnie prawa nauka musi wreszcie stanowczo zaoponować przeciwko kuglarskim praktykom niektórych „psychologów”, którzy wszelkie zjawiska, niesfornie wykraczające po za ciasną ramę ich „poglądów” tłomaczą magicznem słówkiem: „anomalia”, „zwyrodnienie”, „dekadentyzm” etc.

Wprawdzie od badań naukowych nie mamy prawa ani wymagać, ani oczekiwać nieodwołalnych rozwiązań, niezwłocznych usunięć tego, co uważamy za zło. Pod niejednym względem nauka jest bezsilną. Smutnem nieskończenie echem odzywa się w w nas wołanie Guyau [1]:—„Śmierć dla innych, zniszczenie dla tych, których się kocha, oto, na co człowiek, jako esencyonalnie myśląca i kochająca istota, zgodzić się nie może”.—Nie może się zgodzić.

Lecz nauka ma dość sił, aby się nie cofnąć przed wskazaniem i zbadaniem przyczyn i warunków pewnego zjawiska, dość sił, aby zadać kłam wszelkiego rodzaju kuglarzom, spekulującym przedewszystkiem na tani poklask nieświadomych rzeczy.

Nadzwyczaj ciekawą próbę psychologicznego wytłomaczenia pesymizmu znajdujemy w XXIV-tym zeszycie wydawnictwa, wychodzącego pod og. tytułem: „Grenzfragen des Nerven u. Seelenlebens”.

Punktem wyjścia badań autora, doc. A. Kowalewskiego, jest stwierdzenie *asymetryi* zachodzących w życiu psychicznem, t. zn. takich funkcyi, które nie są równomiernie rozwinięte w kierunkach wzajem sobie odpowiadających.

Tego rodzaju asymetrye funkcyonalne spotykamy w zakresie czuć, np. w dziedzinie dotyku zauważono, że pewne punkty na powierzchni skóry odznaczają się maksymalną, specyficzną pobudliwością na ciepło, inne natomiast na zimno. Otóż te punkty (zimna i ciepła) nie są równomiernie rozłożone na powierzchni skóry. Na kwadr. cent. górnej powierzchni ręki znajduje się 13 punktów zima, i tylko 2 ciepła. Ogólna ilość punktów zimna na powierzchni ciała wynosi około $^1/_4$ mil., ogólna zaś ilość punktów ciepła równa się nm. więc. 3000-om. Po za tą daje się zauważyć jeszcze i następująca asymetrya. Gdy pobudzamy jakiś punkt zimna podnietą *cieplną*, zwiększając stopniowo jej temperaturę, otrzymamy szereg czuć o charakterze lodowatym, zimnym, chłodnym. W pewnym momencie wystąpi czucie nieokreślone albo czucie ciepła. Lecz dalsze podnoszenie temperatury (od 40^0 do 70^0 C.) wywoła wyraźne znowu czucie zimna, Tym „paradoksalnym czuciom zimna” odpowiadających „paradoksalnych czuć ciepła” nie posiadamy. Punkt ciepła nie reaguje czuciem cieplejszem na podniety o niskiej temperaturze.

Te i tym podobne fakty, jak np. różny stopień pobudliwości, znużenia, odmienna szybkość reakcyi dla punktów zimna i ciepła, wskazują wyraźnie zachodzące między temi funkcyami asymetrye.

Można oczekiwać, że i w dziedzinie *uczuć* zachodzą podobne asymetrye. Istotnie z badań autora wynika, że funkcye wzruszeniowe (przyjemność i przykrość) nie są bynajmniej nawet w człowieku *normalnym* równomiernie rozwinięte. W tym

[1] L'irreligion de l'avenir, str. 462.

fakcię należy widzieć naturalną podstawę dla genezy pesymistecznego usposobienia duszy. Badanie genezy pesymizmu musi poprzedzić porozumienie się w kwestyi teoryi uczuć. Autor przychyla się (wprawdzie nie bez zastrzeżeń) do teoryi dualistycznej, wyróżniającej dwie tylko jakości uczuciowe: przyjemność i przykrość. Z tego stanowiska ocenia inne teorye: „pluralistyczną” Ziehena i „trzechwymiarową” Wundta. Pierwsza z nich wyróżnia liczne odcienia jakościowe typu przyjemnego i przykrego. Jeżeli zdaniem Ziehena zachodzi różnica jakościowa pomiędzy uczuciem przyjemnem, wywołanem przez akord-dur, a takiem samem uczuciem z powodu moll-akordu, to ze stanowiska teoryi dualistycznej można zauważyć, że owe wrażenia akustyczne, zarówno jak i towarzyszące im uczucia są wytworami złożonemi. Przyjąwszy razem z W., że każdemu składnikowi kompleksu czuciowego odpowiada uczucie cząstkowe (Partialgefühl, otrzymamy t.z. uczucie całkowite (Totalgefühl), które mogą właśnie, ze względu na swą złożoność z odmiennej ilości o odmiennem trwaniu i natężeniu uczuć cząstkowych, różnić się między sobą. To jednak nie zmusza do przyjęcia nowych, specyficznych jakości przyjemnych wzgl. przykrych, uczucia bowiem cząstkowe, które musimy uważać za elementarne, mogą się różnić między sobą tylko ze względu na swój jednoznaczny charakter: albo przyjemny, albo przykry.

Również i teorya Wundta, rozważająca cały system uczuć, jako „trzechwymiarową różnorodność”, w której każdy wymiar posiade dwa wzajemnie wykluczające się kierunki (przyjemność-przykrość, podniecenie-uspokojenie, wzgl. przygnębienie, napięcie-zwolnienie), może być przełożona na język teoryi dualistycznej z tem wszakże zastrzeżeniem, że udział pewnych czuć organicznych w tworzeniu się uczuć zmienia charakter wzruszeń w opisanych przez Wundta kierunkach. Podniecenie np., którego doznajemy przy przejściu z ciemni na światło dzienne, może być sprowadzone do sprawy wyzwalania się pewnych grup postrzeżeniowych, które przedtem działać nie mogły. To funkcyonowanie przejawi się w charakterystycznych czuciach organicznych i mięśniowych, temperatury, dotyku i in.

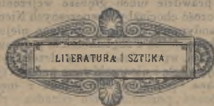
To samo dotyczy uczuć „napięcia” i „zwolnienia.”

Pomijając jeszcze inne instancye, przemawiające przeciwko teoryi Wundta, np. badania eksperymentalne Titschenera, wskażę tu tylko, że stanowisko względem teoryi Wundta nie może pozostać bez wpływu na zagadnienie pesymizmu. Jeżeli bowiem przeciwieństwo pomiędzy przyjemnością a przykrością ma dla życia uczuciowego tylko ograniczone znaczenie, jeżeli istnieją inne, jak to utrzymuje W. spółrzędne przeciwieństwo, to musi się wydać niezmiernie jednostronnem mierzenie wszystkich doznawań uczuciowych miarą przyjemności i przykrości i budowanie na tej podstawie orzeczeń wartości. Byłoby to równie nieoględne, jak gdybyśmy chcieli wyrokować o stosunkach przestrzennych, biorąc pod uwagę jeden tylko wymiar. Lecz gdyby nawet W. ze swoją teoryą 3-ch wymiarową miał racyę, gdyby analityczne próby redukcyjne, podjęte w sensie teoryi dualistycznej, nie wytrzymywały surowej krytyki, to jednak ze wspomnianych doświadczeń Titschenera przynajmniej tyle z *pewnością* wynika, że przeciwieństwo przyjemności-przykrości odgrywa zasadniczą, *kierowniczą* rolę w życiu uczuciowym, że jest ono *wymiarem* dla innych „wymiarów” Wundtowskich.

To minimum dla celów naszego autora najzupełniej wystarcza.

(D. n.)

A. Reybekiel.



NOWE KSIĄŻKI.

Oskar Wilde—**Opowiadania**—przekład Maryi Feldmanowej. Warszawa, 1905 r.

Nareszcie i do nas dotarło „modne” dziś imię Wilde'a. Zdarza się czasem, że modnym się staje nie hecarz jarmarczny, lub wrzaskuń literacki, lecz artysta, szczery, głęboki artysta. Staje się modny pomimo swego talentu. Toż samo się stało z wypieszczonem dziecięciem tysiącoleci, któremu życie wśród innych nie szczędziło razów i udręczeń, a kiedy zamęczyło go na śmierć, obdarzyło go—sławą. Przed paru laty przyswojono naszej literaturze przepiękny dramat „Salome.” Obecnie otrzymaliśmy tłomaczenie jego bajek. Bajki te to jeden wielki ogród, a raczej wielka oranżerya, w której rośnie tysiące kwiatów a każdy z nich ma płatki drobne, drżące i wydaje woń przejmującą. Pełno tam ptasząt rajskich, świergotaniem swojem płoszących na chwilę milczenie. Gdzieś wśród liści szemrze fontanna a przez szklane ściany widać błękit nieba. Nie są to opowiadania proste, naiwne i bezpośrednie. Nie, Wilde to syn przedługiej kultury. Twórczość jego to rzecz wielce kunsztowna. Mnóstwo w niej ozdób, powikłań, załamań. Zdobnictwo stało się nieodzowną częścią jego mowy. Cyzeluje on, rzeźbi swą prostotę dziwnym, subtelnym kunsztem. Myśl zespala się z obrazem w jedną nierozerwalną całość. O wszystkiem stanowi *ta* wszechwładna pani, fantazya, nieznająca żadnych więzów po za szczerością i zapatrzeniem się w piękno. Bajki te jego pełne są tych dyskretnych kaprysów twórczych. A po nad niemi wszystkiemi unosi się lekka mgła zadumy i melancholii. Są to niezwykłe kwiaty na współczesnej glebie, niezwykłe swoją wypieszczoną delikatnością i przezroczym, powściągliwym tonem.

Tłomaczenie jest płynne, lecz zbyt suche i blade.

B.

Sława Pruszyńska—**Poezye**—Warszawa, 1906 r. Jan Fiszer.

Długie litanie słów, długie opisy rzeczy, na które się patrzy i których się nie widzi. „Jesień” — więc „więdnących liści Pani,” więc „śmierć blada, dal, żal..” i t. d. „Wiosna”—więc „złoty promyk słońca,” „toń błękitna” i znów „słońce—gorejące.” Wszystko zatopione po uszy w tym brunatnym sosie ckliwej melancholii, który jest warunkiem „sine qua non” kuryerkowej poezyi i ma naśladować smutek swojskiego krajobrazu. Smutne poezye p. Sławy Pruszyńskiej są jednak istotnie—smutne przez ten brak talentu, przez tę bezsiłę twórczą, która z nich przeziera i wreszcie przez sam fakt, że istnieją, że powstają ustawicznie i rozlewają się jak fale na szpaltach naszych tygodników „dla rodzin” i stronicach książek. Niema w tych rymowanych kopiach natury i w tej taniej filozofii — z sakramentalnem „są chwile” i „są słowa” na wstępie—nic, coby znamionowało prawdziwą poezyę, nie są one wspomnieniem żadnej chwili, którąby była cenniejsza nad inne. Są bezbarwne, limfatyczne, wodniste i... poprawne, ale są też typowe. Bo mimo wszystko jest p. Sława Pruszyńska „geniuszem gatunku,” jest doskonałą przedstawicielką licznego u nas zastępu wierszopisów bez talentu, tych zwłaszcza, najbardziej płodnych i najbardziej licznych, z rodzaju „śpiewaków z łaski Bożej,” tych, których się zna, zanim się ich poznało. I czasem aż trudno oprzeć się chęci odkarmienia takiej np. Sławy Pruszyńskiej wedle metody Irokezów (patrz Heine) i podniesienia jej do godności wzoru, typu... Trzeba mieć na swej skali krytycznej podziałki i poniżej zera.

H. W.

Ola Hansson—**Jasnowidze i wróżbici**. Przełożył z norweskiego Stanisław Lack. Warszawa, 1905 r.

Niezwykłe zjawisko na warszawskim gruncie. Tam, gdzie pomimo ożywionego życia artystycznego (jednostek—a nie ogółu) pomimo przejawienia się dość silnych organizacyi twórczych, pomimo nawet jakiejś mody, uganiającej się za modernistami, pomimo tego wszystkiego nie powstała samorodna czysto artystyczna krytyka (z wyjątkiem niektórych artykułów Nowaczyńskiego, Miriama, Iżykowskiego i do pewnego stopnia Lorentowicza) znalazło się miejsce dla książki, będącej arcydziełem tego rodzaju. Artysta tu wyczuwa całą istność drugiego artysty i wyczuwa tysiącznemi drogi, obejmując oczyma duszy niezmierzoną głębię indywidualnej odrębności danej jednostki. Nie istnieją dlań wszelkie sztuczki i środeczki. Nie upiększa swojej mowy; rzuca myśli powściągliwie i ze skupieniem. Obcem mu jest wszelkie popisywanie się, wstrętna żonglerka migocącemi kulami barwnemi. Hansson stanowczo i cicho odsuwa na stronę całą przypadkowość, którą obśliniają artystów krytycy przeróżnego znaku, zarówno starego autoramentu, jak i „najmodniejsi moderniści.” Dla niego istnieje jedno zagadnienie: człowiek, jako istnienie samo w sobie. Nie zapoznaje on łączności ze zjawiskami zewnętrznemi, lecz umie wpływ ich sprowadzić do właściwych rozmiarów i na ich tle wyczuć istotną mowę duszy. Znakomitymi przykładami, jak krytyk może wypieści obraz poety własnymi snami, są jego rzeczy o Poe'm lub Stirnerze. Dają nam one odrazu jasne, subtelne zarysowanie konturu wewnętrznego jednostki, ukazują miejsce, skąd okiem objąć można bezbrzeżne krainy ich ducha. Ujmując artystycznie — intuicyjnem odczuciem treść poety, jednocześnie dają możliwe i wyraziste zrozumienie jego duchowej fizyognomii. Wszelkie kryterye, wszelkie prawdy teoretyczne są mu obce. Zna bowiem Hansson jedną tylko prawdę: dusza ludzka zawsze i wszędzie jest samą sobą. To, co zawierają pewne dzieła sztuki, to tylko wypadkowe uzewnętrznienia wewnętrznego procesu, rozpoczynającego się z przebudzeniem świadomości ducha w młodej istocie, a kończącego się czyli raczej przechodzącego w inną fazę—ze śmiercią.

Hansson wybiera tylko tych, którzy są mu blizcy bezpośrednio: blizcy podobieństwem lub —kontrastem. W obrazie, jaki daje, portretując pewne jednostki, snuje on tło ogólnej zawartości psychicznej całej epoki. Brak miejsca nie pozwala mi stwierdzić tego przykładami. Zwrócę tylko uwagę na misterne uwypuklenie tej wewnętrznej męki, jaka cechuje całą naszą dzisiejszość. Człowiek bezwątpienia ma w sobie wielką potęgę, lecz życie zewnętrzne, to drobne, mikroskopowo drobne życie męczy go. Po za tem jakaś klęska przed laty padła na umysły. Rozdźwięk wzrósł do rozmiarów katastrofy i poczęło się udręczenie przełomu. Silniejsi mierzyli się z nią całą swą mocą, słabsi szukali — przystani, stawali się pseudo-wierzącymi, jak patryarcha ich Bourget. Na tle tego niepokoju dusz, tego lęku przed jakąś nadchodzącą grozą odbija się ostrym kontrastem postać silnego syna radosnej wiosny—Böcklin'a. Ten nie zna trwogi, przemoże wszystko i wszystko przetworzy na mowę artyzmu. Czuje on wielką rozkosz istnienia. „Uczucie rozkoszy jest u niego nietylko formą, lecz treścią, materyałem; towarzyszy nietylko poczęciu idei, lecz jest ideą samą, jej właściwym rdzeniem; pozostaje więc nietknięta przez cały przebieg tworzenia, podobnie jak nią była przed nim i po za chwilą poczucia, kłębkiem uczuć rozkoszy. Jest ona zespolona w jedną nierozerwalną całość z samą jaźnią Böcklin'a, jest istoty jego najwła-

ściwszą formą bytowania, jemu wyłącznie właściwą, w naszych czasach zupełnie zaginioną, harmonijną i wyniosłą spokojnością—spokojnością witalną."

Tłomaczenie książki Hanssona w istocie zbogaciło naszą literaturę i może stanie się pobudką do zerwania z umiłowanym frazeologicznym szablonem naszych rodzimych krytyków. Tymbardziej, że tłomaczenie to jest artystycznem i ładnem. *B.*

SPRAWY EKONOMICZNE

Gubernia Łomżyńska.

STAN EKONOMICZNY

1) Ziemia i ludność.

Gubernia Łomżyńska dzieli się na 7 powiatów i 72 gminy. Przestrzeń jej wynosi 1,748,584 morg., pod tym względem zajmuje ona jedno z ostatnich miejsc (III-cie) w szeregu gubernij Królestwa (najmniejszą jest Płocka, potem Kielecka).

Ziemia gub. Łomż. dzieli się na dworską-szlachecką 1,029,731 morg., włościańską 483,753 morg., osad 34,885 morg. i rządową 200,215 m. Ziemi włościańskiej w gub. Łomż. jest mniej, niż w każdej innej i różnica jest bardzo znaczna, gdyż z wyjątkiem Płockiej, przestrzeń tej ziemi w innych gub., przewyższa Łomżyńską co najmniej o 33%. Różnica ta jednak zbytecznie dziwić nie powinna, jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że w tej gub. około 600,000 m. należy do drobnej szlachty, a więc stanowi własność, różniącą się bardzo mało od włościańskiej. Pod względem przestrzeni ziemi rządowej, gub. Łomż. zajmuje miejsce 2-gie (1-sze Suwalska).

Ludność jej wynosi 579,592 osób, z których 74,824 zamieszkuje miasta, reszta zaś t. j. 504,768 wieś i dzieli się podług narodowości w sposób następujący:

Powiaty	Polaków	Żydów	M. rusinów	B. rusinów	Rosyan	Niemców	Łotyszów
Łomżyński	81085	21550	925	—	11540 [1]	—	1168 [3]
Kolneński	63576	9182	283	31	251	—	—
Mazowiecki	59873	11474	—	—	819	—	—
Makowski	61415	9436	138	—	1034	—	—
Ostrowski	72256	17287	945	—	5061	2367	—
Ostrołęcki	69644	10527	164	—	6483	—	
Szczuczyński	50316	11780	573	—	2968	—	—
W całej guberni	448065	91235	3828	31	28185	2367	1168 [3]

[1]) Większość żołnierzy.

[3]) Żołnierze.

Ludność miejscowa jest czysto polska, śród niej żydzi stanowią 20 proc. Niewielka ilość Niemców zamieszkuje tylko w pow. Ostrowskim. W Łomży według spisu 1897 r. wykazano 1,188 Łotyszów, służących w wojsku. Stosownie do małej przestrzeni, jaką zajmuje własność włościan, liczba ich osad w gub. Łomż., na ziemi ukazowej, jest najmniejsza, wynosi bowiem podług tabeli 30,474, na ogólną liczbę 592,817 w całem Królestwie. Największa ilość osad w gub. Łomż. należy do średnich, wielkości od 3 — 15 m., stanowią one bowiem 40,2 proc. ogółu, następnie idą osady duże, większe niż po 15 m., których jest 34,7 proc., najmniej osad drobnych, niżej 3 m., których jest 25,1 proc. Liczba tych osad od chwili Ukazu do 1899 r., wzrosła o 4,570 czyli o 15 proc. i dziś jest ich 35,044. Wzrost ten jest słabszym, niż w gub. Lubelskiej, Siedleckiej, Piotrkowskiej, Radomskiej i Kieleckiej, natomiast daleko silniejszy, niż w gub. Warszawskiej, Suwalskiej, Kaliskiej i Płockiej. Świadczy to z jednej strony, że włościanie niechętnie parcelują swoje osady, lecz przekazują je w całości jednemu z synów lub zięciów z obowiązkiem spłaty reszty rodzeństwa, z drugiej, że właściciele większych osad exmitują małorolnych, zagarniając ich ziemię. Ilość osad 3 m. i niżej do r. 1899 zmniejszyła się rzeczywiście w gub. Łomż. o 1,700, czyli o 22 proc. i wynosi dziś 5,935, czyli 17 proc. — podczas kiedy ilość osad średnich wzrosła o 1,751, czyli o 14 proc. i wynosi 13,994, czyli 39,9 proc., a osad dużych o 4,519 czyli o 42,6 proc. i wynosi 15,115 czyli 43,1 proc.

Ogólne prawo, że silniejszy bogaci się kosztem biedniejszego, sprawdza się na życiu najliczniejszego odłamu naszego społeczeństwa. Łatwo stąd wysnuć wniosek, że przy tworzeniu jednostek gospodarczych należy zwracać baczną uwagę na to, aby te jednostki były zdolne do samodzielnego istnienia. Omyłka, popełniona przez obdarowanie włościan zbyt małemi działkami, przyczyniła się w znacznej mierze do wzrostu proletaryatu bezrolnego. Nie mówiąc o tych 1700 rodzinach, które wyprzedały swoje gospodarstwa, należy pamiętać, że w ciągu prawie 30 lat, na 35,000 z górą gospodarstw, przybyło 4 i pół tysiąca nowych. Gdzież się podziało całe młode pokolenie? Odpowiedź łatwa: jedni pomnożyli szeregi bezrolnych, drudzy poszli szukać szczęścia w Ameryce. Potwierdza nam to fakt, że największa ilość gospodarstw drobnych, zginęła w gub. przylegających do Prus, skąd najsilniejszą emigracyę mieliśmy w latach 1898 i 1899. Średnia wielkość osad ukazowych wynosiła 15 m. w całem Król. przeciętna wielkość osady w gub. Łomż. była nieco większą, dochodziła 16,8 m., dziś już tylko 14,6 m., czyli, że zmniejszyła się o 2,2 m. Zjawisko to dotyczy tylko ziemi ukazowej, której przestrzeń zwiększyła się przez dodanie gruntu w zamian za zrzeczenie się serwitutów, a ilość osad na tej przestrzeni wzrosła. Gospodarstwa na gruntach ukazowych pomnożyły w Król. gospodarstwa na ziemiach nabytych przez włościan od dworów, tych przybyło w całym kraju 74,967, z czego na gub. Łomż. wypada zaledwie 1,525, na przestrzeni 16,088 m. czyli 3,1 proc. w stosunku do ziemi ukazowej. Słabszy pod tym względem ruch daje się widzieć jedynie w gub. Suw., gdzie tą drogą przybyło 12,952 m. Dwie te gub. Suw. i Łomż. rażąco różnią się w tym względzie. Najsłabszy ruch, jaki wśród innych wykazuje w tym kierunku gub. Płocka, przynosi 44,244 m. ziemi dworskiej, w Kiel. 71,748 m. i t. d. Zjawisko to tłomaczy się brakiem instytucyi parcelacyjnych, małą działalnością banku i wielką przestrzenią ziemi rządowej. Średnia wielkość osad nabytych od dworów, wynosi w gub. Łomż. 19,4 m. jest więc znacznie większą od średniej przestrzeni osady na ziemi ukazowej (14,6 m.)

Oprócz gospodarstw włośc. do kategoryi drobnych należy zaliczyć gospodarstwa mieszczańskie na ziemiach osad. Liczba ich w 1870 r. wynosiła 58,438, obecnie wzrosła do 74,609. Z ogólnej ilości na gub. Łomż. przypadało w 1870 r. — 4,329 dziś jest już 4,917, czyli o 588 gosp. więcej t. j. 13,6 proc. jest to wzrost najsłabszy, jaki daje się zauważyć w całym kraju, w niektórych zaś powiatach, jak w Mazowieckim i Makowskim, liczba tego rodzaju gosp. zmniejszyła się nawet. Zjawisko to jest wprost przeciwne temu, które spotykaliśmy w gub. Suw., gdzie przyrost gospodarstw na gruntach osad (30,9) był daleko większym od przyrostu na gruntach włośc. Objaśnia się to małem znaczeniem ziemi i jej dochodu w życiu ludności zamieszkałej w osadach, oraz niewielką przestrzenią należących do nich gospodarstw, których dzielenie nie przedstawia dla sukcesorów żadnego interesu. Stosunek przestrzeni w gospodarstwach osad nie odpowiada jej stosunkowi na gruntach włośc. W 2,244 osadach najwięcej było gospodarstw najdrobniejszych, zajmujących przestrzeni do 3 m. ilość ta w ciągu lat 30 wzrosła do 2,672, czyli o 19,1 proc. Następne miejsce zajmowały gospodarstwa średnie od 3—15 m. których przed 1870 r. było 1,520 dziś zaś jest 1,600, czyli przybyło 5,3 proc., najmniej większych od 15 m. bo tylko 565, dziś liczba ich powiększyła się do 645 czyli o 14,2 proc. Największą nieruchomość wykazują gospodarstwa średnie, jest to rzecz charakterystyczna z tego względu, że w danym razie ludność żywiołowo trzyma się normy koniecznej dla dostarczenia odpowiednich środków do przeżycia i gospodarstw takich nie dzieli. Przeciętna przestrzeń gospodarstw na ziemiach osad zmniejszyła się od czasu ukazu z 4,2 morg. do 3,7 m. czyli o 0,5 m. na osadzie. Powiększenie własności osad jest tak nieznaczne, że prawie nie daje się zauważyć. W ciągu 30 czy 40 lat do 1899 r. w gub. Łomż. drogą nabycia ziem innych kategoryj przybyło zaledwie 61 gospodarstw osad, to samo zjawisko daje się spostrzegać i w innych guberniach.

Do szlachty drobnej należy w guberni Łomż. 20,557 gospodarstw, jest to liczba największa, jaka się spotyka w Królestwie i stanowi połowę ogólnej ilości, tej kategoryi gospodarstw w kraju (41,664). Zważywszy, że cała przestrzeń ziemi należącej do drobnej szlachty wynosi około 600,398 m. na jedną kolonię szlachecką wypadnie przeciętnie 29,7 m., więc znacznie więcej niż na włościańską. Położenie ekonomiczne drobnej szlachty nie różni się prawie niczem od włościańskiego, a pod wielu względami jest gorszem. Fortuna szlachecka składa się z rozrzuconych na kilkunastowłókowym obszarze licznych, wązkich a długich pasów, oddzielonych miedzami od zagonów sąsiada.

Rozbicie każdej fortuny na strzępy, podczas jesieni, na wiosnę i w lecie, charakterystyczną polom nadaje cechę a pod względem ekonomicznym jest bardzo szkodliwe. Szlachta prowadzi gospodarkę trójpolową: jeden łan uprawia pod ozyminę, drugi pod jarzynę, trzeci w części pod kartofle, w części pod ugor, który łącznie z $^1/_3$ łąki stanowi pastwiska. Drobny szlachcic, posiadacz małego kawałka ziemi, pracuje w mniej przyjaznych warunkach od chłopa w skutek tego, że jego ziemia jest w szachownicy, w wązkich pasach. Jedyną na to radą byłoby sprowadzenie rozproszonych cząstek każdej fortuny do jednolitej całości, oddzielenie współwłaścicieli, nie naruszając wspólności pastwisk. Znikłyby wówczas niedogodności właściwe dzisiejszemu położeniu, polepszyłaby się strona ekonomiczna drobnej szlachty, a nawet jej stan moralny. Na przeprowadzenie jednak se-

paracyi z inicyatywy samej szlachty liczyć nie można, potrzebę jej pojmuje ona dobrze, zbyt przywykła przecież do odwiecznej rutyny, za mało jest solidarną i za bardzo podejrzliwą, aby mogła sama dokonać podobnej reformy. Próby przedsiebrane w niektórych osadach spełzły na niczem, gdzie niegdzie tylko uległy podziałowi bory i lasy. Skutkiem fatalnego układu fortun, posiadacze są najzupełniej od siebie zależni, w pewnych wypadkach ogół znajduje się na łasce jednostki, w innych osobnik lub mniejszość ulegać musi większości. Dla osuszenia miejsc nawodnionych, zachodzi potrzeba przekopania rowu lub zrobienia przegonów przez całą szerokość pola. Schodzą się w tym celu na naradę panowie bracia i sejmikują dopóty, aż czas właściwy dla wykonania roboty przeminie.

Osada szlachecka różni się od chłopskiej: dom zbudowany z drzewa, usunięty trochę od drogi, okolony wierzbami lub wysokiemi topolami, rzadko stoi frontem do ulicy. Drzwi główne prowadzą na dziedziniec, tylne na śmietnik, okna szczytowe, przez ogródek dają widok na drogę. Siedziba szlachecka imponuje pewną powagą, znaczniejsze bowiem niż chłopska posiada rozmiary.

Okazałość polega także na tem, że budynki mniej skupione, okalają obszerne podwórze. Przy bliższem poznaniu wspaniałość jednak niknie wskutek nieczystości i nierządu.

(C. d. n.)

St. Staniszewski.

Przed wyborami.

Nie jako członek partyi—pisze G. Daniłowski w № 237 *Kur. Codz.* — gdyż do żadnej z dobijających się o mandaty nie należę, lecz jako zwyczajny homo sapiens pozwalam sobie zabrać głos w tej dziwnej na pozór sprawie.

Ukazała się odezwa wyborcza, podpisana przez związek postępowo-demokratyczny, odezwa, która jasno określa stosunek tej partyi do obecnego systemu wyborczego, stanowisko, jakie, zdaniem jej, nieliczni nasi przedstawiciele powinni zająć wobec ogromnej większości reszty Dumy, a jako zasadnicze hasło programu na dziś, warunek swej obecności w Tauryckim pałacu, wysuwa przeniesienie środka ciężkości spraw, dotyczących wyłącznie naszego społeczeństwa, nad Wisłę, powołanie przytym do tej pracy wszystkich sił, jednem słowem—zdobycie trwałej podstawy pawdziwego odrodzenia, o które modli się każde serce polskie, miłujące istotnie cały naród od piwnic do poddaszy.

Zdawałoby się, że taki pierwszy wyraźny manifest wyborczy, poruszający zasadnicze i niezmiernie doniosłej wagi sprawy — powinienby wywołać w prasie szeroką, poważną dyskusyę.

„*Na szczęście* — czytamy w *Kur. War.*— odezwa ta prawie pozostała bez echa".

Dlaczego „na szczęście"?

Bo autonomie, konstytuanty, plebiscyt — to wszystko faramuszki! Absolutna solidarność— to grunt, a odezwa zastrzega się przeciw bezwzględnej solidarności i w dodatku ośmiela się przewidywać, że wobec bardzo ograniczonego cenzusu do Dumy wejdzie *prawdopodobnie* większość, obca interesom mas ludowych i najoświeceńszych pierwiastków społeczeństwa, odsuniętych od urny wyborczej.

Precz więc z takimi ludźmi!—woła były autor Larika, dyrektor akcyjnego przedsiebiorstwa *Gazeta Polska.*

„Praca na szkodę naszej przyszłości już się rozpoczęła!" wtóruje tyjąca na utrzymaniu książęcem podupadła staruszka *Warszawska.*

A jako nowożytny Rejtan na progu Izby, tym razem petersburskiej, kładzie się sam pan Władysław Rabski i po 10 kop. od wiersza piorunuje:

„My — Rabscy zapewniamy, że zasadniczą intencyą odezwy nie są te 4 punkty, które ona wymienia, jako podstawowe, ale jedynie rozbijanie solidarności Koła, że smutne doświadczenie Galicyi, gdzie hasło solidarności tak fatalnie bywa używane na pokrywkę dla egoizmu partyjnego, niczego nie uczy, bo..."

Tu z właściwą sobie brawurą piętrzy frazes na frazesie, wpada sam we własne potrzaski, ale niezmieszany wyłguje się natychmiast i holenderuje dalej.

Starając się zbagatelizować exemplum Galicyi, powiada: „*proszę nam wskazać choć jedną zasadę taktyki politycznej, która nie mogłaby być nigdy nadużywana i wyzyskiwana? Niema w polityce żadnej podstawy działania, któraby zawsze i wszędzie dawała dobre owoce*"

Skoro niema żadnej, panie R.!—to dla czegóż ma nią być skompromitowana obsolutnie solidarność, tak przytem niewzruszona, że bez względu na to, jak się ukonstytuuje przyszłe Koło, wysuwasz ją pan, jako jedyny najważniejszy *mandat imperatif*—pan, któremu jako kameleonowi politycznemu, możnaby odmówić mandatu przemawiania wogóle w tych sprawach.

„Solidarność jest zła, gdzie źli są posłowie"—wyrywa się p. R. nieopatrzne zdanie.

„Ale—wykręca się w tej chwili — od tego jest zmysł samozachowawczy, jest instynkt obywatelski, aby tylko najlepszych z narodu mianować strażnikami interesów polskich."

To już stanowczo za gruby kawał.

Przecież wybór tych „najlepszych z narodu" jest ściśle ograniczony i cenzusem i stanowością i terytoryum gminy, cyrkułu, i wielostopniowymi wyborami i t. d.

Co tu pomoże instynkt i kultura?

Pański instynkt i kultura otworzyły wprawdzie panu drzwi do *Wieku* i *Kuryera*—ale „najlepszemu biedakowi" zamkną wstęp do Dumy. Pan doskonale wiesz, kto wybiera i kogo wybierze. Ja wiem również i dlatego całą sprawę nazwałem dziwną, ale tylko *pozornie.*

Do Dumy od nas wejdą apartamenty i liczne włóki; nie prawdopodobnie, jak mówi odezwa, ale napewno będą one stanowiły większość polskiej frakcyi, która broniąc w pierwszej linii własnych interesów stanowych i klasowych, utożsami je niezawodnie z interesami narodu

Apartamenty i włóki słusznie spodziewają się, że będą w kole najliczebniejsi, ale nie mają gwarancyi, czy będą jedni. Obawiają się, że może się znaleźć obok nich jaki prawdziwy postępowiec i demokrata, człowiek istotnie oddany narodowi, dbający przedewszystkiem o rdzeń jego—lud, a jeśli w dodatku będzie to człowiek mądry, utalentowany i niezłomny—może zacząć płatać kamienicznikom i „obywatelom" niebezpieczne figle: przypierać do muru, zmuszać do wyraźnego wypowiedzenia się w kwestyach, o których wolą milczeć i demaskować publicznie.

Na ten właśnie przykry wypadek wynosi się po nad wszystko zasadę bezwzględnej solidarności—knebel na szczere usta, kaftan na mocne ręce.

Bibl. Warsz. wydrukowała list Henryka Sienkiewicza, w sprawie wyborów. Z listu tego przytaczamy wyjątki, najdobitniej wyrażające zapatrywanie autora:

Społeczeństwo nasze chce i musi mieć wpływ w przyszłej izbie. Jest to kwestya tak dla nas doniosła, że bez jak najsilniejszego nacisku mówić o niej nie można. Tego zaś wpływu nie zapewnią nam, ani takie mierności, na których dobro można tylko zapisać ciasny fanatyzm stronniczy, ani takie, którym zmienione stosunki przedstawiają się jedynie jako złote schody, wiodące do raju materyalnych korzyści, lub zadowolonej ambicyi, ani takie, które stare, patryotyczne frazesy przekuwają sobie na nowe medale patryotycznej zasługi, ani wreszcie takie, których niedawno jeszcze, w najcięższym okresie naszego życia, nie było przy społecznej robocie.

A z tego wniosek, że winniśmy się strzedz jak ognia wszelkiej nicości, czy to skojarzonej z jednostronnym fanatyzmem, czy to z interesem osobistym, czy to z nieuzasadnioną ambicyą, czy z uporem w starych błędach, czy z próżniactwem.

Ale w takim razie kogo wybrać i gdzie wybrańców szukać?

Gdzie?—odpowiedzieć nie trudno. W całym kraju. — W stronnictwach i po za stronnictwami. A również bez wahania można powiedzieć, jakich ludzi należy wybierać. Dzisiejsze czasy, jakkolwiek trudne, są jednak w porównaniu z poprzednimi jakąś wiosenną zapowiedzią. Coś się oznajmia, coś kiełkuje, coś się zazielenia, poczyna się ukazywać ruń jakiegoś zboża. Zjawiają się już nawet nieoczekiwani ochotnicy, którzy mówią: będziemy żąć, wiązać snopy i zbierać kłosy. Otóż nie! Nie ich należy wybierać, ale tych, którzy wówczas, gdy nad tą naszą rolą gwizdały najmroźniejsze wichry, kładli się na niej i ogrzewali ją własnem ciałem, aby nie skostniała zupełnie — i którzy wyrywali z niej ciernie i krzemienie. A mówiąc bez przenośni, należy zaufać takim niestrudzonym robotnikom, którzy pracowali oddawna, i którzy to na jednej, to na drugiej niwie odznaczyli się tak wyjątkową wytrwałością, taką wyjątkową i owocną energią, tak bezprzykładną czujnością, że owe przymioty wyniosły ich znacznie po nad poziom zwykłych pracowników. To są ludzie nietylko ogromnej zasługi, ale zarazem niepospolici; tacy odznaczą się i uzyskają wpływ wszędzie, a zarazem wzbudzą szacunek i podziw tak dla siebie samych, jak i dla zbiorowego ciała, do którego należeć będą.

A następnie należy wybierać ludzi wybitnej wiedzy. Fanatyczna nienawiść wzniosła przeciwko nam prawdziwy mur uprzedzeń. Szkalowano nasze dzieje, szkalowano tryumfy, szkalowano zwłaszcza epokę upadku i życie porozbiorowe. Przekręcano fakta i fałszowano na własny użytek historyę. I czyniono tak nietylko na polu historyi. Trzeba nam do boju z tą „potęgą ciemnoty" i złości szermierzy, otoczonych uznaniem i powagą, szczególnie silnych, przywykłych nietylko do walki, ale i do zwycięztw. Tem gorzej dla nas, jeśli ich nie znajdziemy, albo jeśli znalazłszy, pominiemy. Które stronnictwo ma ich w sobie, niech ich da. Wszystkie powinny w imię miłości dla kraju ich szukać i oddać im głosy.

Nie zapędzajmy się zbytnio w stronniczych zapasach, nie wysyłajmy mierności, których jedyną zaletą jest kokarda danego stronnictwa. Szukajmy w całym kraju ludzi *najlepszych.* Szukajmy wśród polityków, ekonomistów, prawników, historyków i publicystów, rolników i przemysłowców, ludzi pracy, ludzi najznakomitszej wiedzy i największego talentu, a gdy znajdziemy takich, którzy z owymi przymiotami łączyć będą wielką miłość kraju i niezłomny charakter, wówczas będziemy mogli sobie powiedzieć, że spełniliśmy patryotyczny obowiązek.

W Nr. 255 *Kur. Codz.* czytamy:

Zaturkotało, zabuczało... z szumem i świstem wpadł na stacyę pociąg błyskawiczny.

Ze wszech stron tłoczą się podróżni. Gwar, ścisk, nawoływania... każdemu pilno.

Z otwartych drzwi poczekalni pierwszej klasy krokiem miarowym wychodzi grupa podróżnych. Jakże różnią się od tłumu, zebranego na stacyi! Ani okruszynki pyłu na świeżo przez pierwszorzędnego krawca sporządzonych frakach, ani atomu prochu przydrożnego na nieskazitelnej reszcie, ani jednej zmarszczki na wyniosłych czołach. Każdy jest nacechowany wspaniałością. Każdy krok — powagą. Kto chce, czy nie chce pozna, że to „oni" nasi uprzywilejowani, których stóp błoto życia powszedniego nie sięga, a myśli innych trosk nie znają nad pieczę dobra publicznego, która

widocznie zmarszczkami śladów swoich nie znaczy.

Dzwonek... idą ku wagonom, poprzedzani przez niestrudzonego herolda dziennego i nocnego, który gorliwie na wsiadanem jeszcze raz przegląda szeregi i sprawdza, czy wszystko w porządku. Drugi dzwonek...

„Panowie, uwaga! Czyście czego nie zapomnieli?”—pyta gorączkowo—„herby? przywileje dziedziczne?”

— „Są, są... mamy je zawsze przy sobie”—odpowiadają, uderzając po wypchanych tekach.

„Klapy, przygotowane pod wstążeczki orderowe?”

— „Są. Prosto z igły.”

„Karki, wygimnastykowane należycie?”

— „O, niema obawy, trenujemy się już tak dawno!”

„A solidarność! Panowie, gdzie solidarność, czyście nie zapomnieli o niej czasem?”

— „Jest, jest... na bagażu... tyle się tego zebrało, że niepodobna było pomieścić w ręcznych pakunkach... bo przecież trzeba było zabrać ze sobą kilka odmian, na wszelki wypadek: solidarne kłanianie się władzę dzierżącym, solidarne wykręcanie się od zobowiązań względem wyborców, solidarne sprzedawanie losów narodu za miskę soczewicy uzyskanej dla klas uprzywilejowanych, solidarne zamykanie oczu na najwięcej krzyczące potrzeby kraju... są, są wszystkie rodzaje solidarności, zaopatrzyliśmy się znakomicie, nauczeni długoletniem doświadczeniem światłych mistrzów z „Koła” wiedeńskiego”.

„A zatem wsiadać, panowie.”

Ale tu zapędy przedsiebiorczych podróżnych skromnem zapytaniem „a dokąd to panowie?” powstrzymał konduktor.

Odpowiedziały mu zmieszane głosy:

— Do Szerokogębska... Lizołap... Pustomielska... Targowiczanki... ja do Orderówki... ja zaś do Synekurska...”

— „Przepraszam, czy panowie z Zaścianka? To pociąg błyskawiczny. Idzie w przyszłość i na tych dawno zapomnianych przystankach nie zatrzymuje się wcale.”

Herold dzienny i nocny w przerażeniu opuścił na ziemię trzymany w ręku kół osikowy. Wyrwał go był z rodzimego płotu i wziął ze sobą na „wszelki wypadek.” Dobre to i do napadu i do obrony, a i na laskę wojewódzką niezgorzej zdać się może.

Skonfundowani podróżni spojrzeli po sobie... Kochani... snadź po bratniej uczcie znużeni niezliczoną ilością sumiennie spełnianych „kochajmy się” pospali się snem sprawiedliwych.

A przez ten czas historya, zawdziawszy buty siedmiomilowe, uczyniła jeden jedyny krok naprzód, krok olbrzymi... a oni... pozostali w Zaścianku.



Życie publiczne w Rosyi.

P. M. Menszykow, felietonista, gazety *Nowoje Wremia* (Nr. 10,625), zamieścił artykuł, przestrzegający społeczeństwo rosyjskie przed wypadkami, które się zbliżają:

„Przez długi czas — mówi p. Menszykow— zdawała się anarchia głupstwem. Była to, niby na spokojnej powierzchni wód, lekko rozkołysana zmarszczka. Lecz w ostatnim dziesiątku lat zdarza się cały szereg nieszczęść narodowych, epidemie, głodne lata, nieudane emigracye, co wszystko wstrząsa do głębi nieporuszonym dotąd oceanem. Wreszcie wojna bańbiąca, która naród rani w jego najświętszych uczuciach—dopełniła miary. Niezdarni ludzie, ludzie bez sumienia, oszukańcy zaufania ludu doprowadzili Rosyę do katastrofy, a wojna ta lepiej niż wszelkie gromkie proklamacye, niż wszelka propaganda, otworzyła ludowi oczy.

I stał się nagły przełom w myślach i przekonaniach rosyjskiego ludu. Jak wicher szumny zakrążyły w przestrzeniach, tej nieruchomej dotąd atmosfery, różne domniemania, gwałtem narzucające się idee, namiętne uniesienia. Aż do samego dna mas ludowych sięgały one.

W psychice mas nastąpiła tedy zmiana ogromna. Ani lud stał się bardziej ukształcony, ani rozumniejszy—bo tego odrazu nikt nie narzuci—lecz widocznie znalazł on sobie nowy punkt zapatrywania, a odwieczny bieg jego myśli inną przyjął formę.

Nie obca jest polityka prostemu ludowi. Świadomość polityczna istnieje w narodzie senna.

Owóż, zbudziła się.

Dopóki Rosya zwycięska biła Tatarów, Szwedów, Polaków, Turków i Persów — lud prosty ciężką rzeczywistość swoją mógł wytłomaczyć sobie przez te zwycięztwa. Lud wierzył, iż dobro siły państwowej wymaga odeń, ażeby uciśniony był i poniżony.

Ale skończyła się epoka zwycięztw. Strącono ludowi koronę, widzi on, że go biją jacyś niewielcy sąsiedzi. Ciemnota ludu nie przeszkodziła mu dojrzeć tego faktu dziwnego. Ołtarz, na którym lud składał ofiarę ze swej swobody—zachwiał się.

My, ludzie klas wyższych, żyjemy życiem wszechświatowem, europejskiem, przeszłością wszystkich narodów i marzeniami ich o przyszłem szczęściu ludzkości. Lud nasz zaś—to tylko naród rosyjski, którego dzieje są w nim samym.

Zbudzony ze snu, tembardziej odczuwa porażkę. A skoro zauważył, że państwowość, na którą liczył, przestaje go bronić, sam poczyna myśleć o przebudowaniu gmachu tej państwowości.

Ślepy to, żywiołowy kieruje nim instynkt.

Wszelako nie trzeba za ruch polityczny brać ulicznych zamieszek, rozboi, morderstw.

Celem zaś ludu nie jest zwalenie, lecz przeistoczenie państwa.

Aktualny rząd reformatorski tenże cel ma przed sobą. Sam rząd bowiem, nabył przekonania, że organizm państwowy uległ rozstrojowi; czyli, rząd mógłby współrzędnie z ludem działać, lecz partye skrajne wszelkiemi siłami chcą ten związek rozbić, kierując reformę z łożyska pracy politycznej na rozstaje wojny domowej.

Wstecznicy podszczuwają rząd przeciw ludowi, radykalni lud przeciw rządowi.

Wobec braku rozwiniętego u nas zmysłu politycznego, wszystko to może skończyć się wielkiem nieszczęściem.

Tedy mężowie stanu powinni nakoniec zdać sobie sprowę dokąd pójść i jak należy działać natychmiast. Rząd winien w jednolitem porozumieniu ze społeczeństwem zastosować energiczną akcyę, nadając przedewszystkiem te zasadnicze prawa obywatelskie, których na Zachodzie nie odrzucają najżarliwsi konserwatyści: bezwzględną wolność wiary, bez dzisiejszych ograniczeń, wolność słowa, wolną szkołę, swobodę zebrań i związków, oraz prawo głosowania i prawo wyborcze dla wszystkich obywateli pełnoletnich i niekaranych sądownie.

Spełniwszy tak umiarkowane i słuszne życzenia, rząd kupi sobie klasę robotniczą, klasę pracy, t. j. większość, która jest zmęczona wskutek anarchii. Partya ta przez samą swą większość paraliżuje akcyę skrajnych stronnictw.

Czas wahań minął. Natomiast przyszedł czas zrozumienia, że w polityce—mechanicznem prawem władz jest być pośrodku ruchów (centrum).



KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. W uniwersytecie odeskim odbył się wiec ludowy, na którym było przeszło 10,000 osób.

— Zebranie robotników miejskich w Moskwie powzięło uchwałę, że tylko zadośćuczynienie wszystkim żądaniom robotników może uspokoić kraj.

— W Jałcie, Symbirsku i innych miastach odbyły się zgromadzenia poświęcone pamięci ks. Trubeckiego w połączeniu z demonstracyami politycznemi.

— Z powodu mityngów w zakładach szkolnych rada ministrów, jak donosi *Now. Wrem.*, doszła do przekonania, że zakazywanie ich mogłoby sprowadzić smutne następstwa i że niezbędnem jest jak najszybsze opracowanie prawa o zebraniach i udzielenie im pomieszczenia.

— *Nowosti* piszą, że organizowane jest nowe stronnictwo postępowo-konstytucyjne, które stawia na pierwszem miejscu programu zachowanie całości Rosyi nierozdzielnej i odrzuca wszelkie zamiary, skierowane wprost lub też pośrednio do wyosobnienia części mocarstwa w samoistne jednostki polityczne.

— Polacy wyborcy z guberni podolskiej nie przyjęli propozycyi Rosyan podziału miejsc w Dumie państwowej i postanowili ugrupować jak największą ilość głosów około programu podolskiej partyi ziemiańskiej.

— *Ruś* pisze, że w najbliższej przyszłości przedstawiony będzie do zatwierdzenia projekt zwiększenia korpusu żandarmeryi z powodu olbrzymiej ilości badań o przestępstwa polityczne.

— Rząd pruski zamierza uchwalić nowe środki ochronne przeciwko przechodzeniu majątków ziemskich z rąk niemieckich do polskich na Śląsku, w Poznańskiem i w Prusach zachodnich. Prawdopodobnie sprawa ta będzie rozpatrywana na najbliższej sesyi sejmowej.

— Grono ziemian w Królestwie Polskiem złożyło ministrowi spraw wewnętrznych memoryał o konieczności uregulowania na drodze prawodawczej stosunków pomiędzy właścicielami a robotnikami rolnymi. Pomimo że tych ostatnich jest około 800,000 stosunki te regulują się dotychczas na mocy zwyczajów miejscowych i niczem niezabezpieczającej umowy prywatnej. Kopię memoryału rozesłano wszystkim w kraju towarzystwom rolniczym.

— Wszechrosyjski zjazd adwokatów w Moskwie, któremu rozkazano rozjechać się, oświadczył się za zniesieniem kary śmierci.

— Projekt przepisów dodatkowych o wyborach w Królestwie Polskiem do Dumy państwowej został przedstawiony do Najwyższego zatwierdzenia.

— *Nasza żizń* donosi, że przedsiewzięto rewizyę w d. 19 sierpnia ogłoszonej ustawy o Dumie państwowej, w celu przystosowania jej do programów liberalnych. Wskutek tego zwołanie Dumy odroczone będzie do marca.

— *Siew Zap. Słowo* donosi, że włościanie niktórych miejscowości w gub. Kijowskiej odmówili uczestniczenia w wyborach do Dumy państwowej; to samo uczyniła ludność jednego z powiatów gub. jarosławskiej.

Zamachy i zaburzenia. W Łomży podczas rewizyi w mieszkaniu prywatnem policya znalazła bombę już wykończoną.

— W Rydze zabito dozorcę policyjnego w chwili, kiedy chciał aresztować czterech mężczyzn, jadących dorożką i śpiewających pieśni rewolucyjne.

— W Niższym Nowogrodzie rzucono bombę na patrol policyjny.

· W Mińsku na zebranie do synagogi przybyli członkowie partyi rewolucyjnej *Bundu*; wówczas wtargnęli za nimi policyanci i kozacy. Robotnicy bronili się laskami. Raniono do tysiąca osób, ciężko — 20. Robotnicy następnie urządzili demonstracye.

— Dnia 23 b. m. 40 nożowców i złodziei podmiejskich zorganizowało napad zbiorowy na robotników, powracających z garbarni na Woli, pod Warszawą. Robotnicy, nieprzygotowani, ulegli przeważnej sile. Ciężko ranionych odwieziono do szpitali. Napad jest podobno zemstą za prześladowanie, jakiego złodzieje doznali od robotników. Żadnego ze zbrodniarzy nie

ujęto. Ten napad złodziei na robotników wywołał odwet ze strony ich towarzyszów. Dnia następnego robotnicy w garbarniach nie poszli do fabryk, lecz rozpoczęli poszukiwanie i ściganie rzezimieszków i nożowców. W różnych punktach podmiejskich przyszło do krwawych rozpraw, nie przybrały one jednak zastraszających rozmiarów z powodu wojska, które wystąpiło bardzo licznie, zwłaszcza na Woli.

— Dn. 24 b, m. wieczorem na szosie wolskiej przy cmentarzu wystrzałem z rewolweru zabito strażnika ziemskiego.

Bezrobocia. Wszystkie koleje rosyjskie z wyjątkiem mikołajewskiej objęło bezrobocie. Ustał zupełnie ruch pociągów osobowych i towarowych.

— Dn. 25 października o g. 12 w nocy przerwany został ruch na wszystkich liniach kolei nadwiślańskich. Żaden pociąg na tych liniach nie wyszedł już z Warszawy. Pociąg petersburski odszedł wprawdzie z dworca, ale zapowiedziano, że dojdzie przypuszczalnie tylko do Łap. Olbrzymie bezrobocie kolejowe, jak twierdzi *Now. Wr.*, grozi Rosyi taką klęską, wobec której bledną wszelkie okropności wojny. Wszystkie pisma zgadzają się, że tylko urzeczywistnienie zasadniczych reform politycznych może uspokoić to wrzenie. Deputacya zjazdu pracowników kolejowych przedstawiła hr. Wittemu swe żądania, między którymi są i polityczne.

— Zarząd kolei nadwiślańskich otrzymał od swych delegatów na zjeździe w Petersburgu następujący telegram: „Zjazd delegatów wniósł na posiedzeniu (z dn. 25-go) wszystkie żądania ekonomiczne i prawne pracowników kolei nadwiślańskich, załączając i kwestyę polską. Sprawa kasy również była rozpatrywana i w tych dniach będzie zakończona."

— Farmaceuci w Moskwie zastrajkowali.

— Zecerzy w Moskwie postanowili zamienić bezrocie ogólne na bojkot niektórych drukarń. Ośm już poddano bojkotowi.

Sprawy szkolne. Wszystkie szkoły handlowe w Królestwie Polskiem wniosły podania do ministeryum skarbu o przemianowanie ich na zakłady prywatne i wprowadzenie wykładów w języku polskim. Wyjątek stanowi jedna szkoła prywatna w Warszawie i jedna w Łodzi, które pozostają na dawnych prawach.

— Rada profesorska uniwersytetu warszawskiego rozpatrywała projekt utworzenia czterech katedr z wykładem polskim: historyi polskiej, literatury polskiej, języka polskiego i historyi prawa polskiego. Katedry historyi literatury polskiej i języka polskiego są już zatwierdzone przez ministeryum.

— Rada uniwersytetu warszawskiego postanowiła rozpocząć wykłady dn. 29 b. m. Inspekcyę zwinięto.

— W sprawie wykładu geografii powszechnej i historyi po rosyjsku w szkołach prywatnych polskich *Ruś* wyraża życzenie, żeby to było nieporozumienie, które należy wyjaśnić, gdyż niema nic gorszego nad półśrodki.

— Zamknięto akademie duchowne: kijowską, moskiewską i kazańską. Rzecz idzie o autonomię.

— Studenci akademii wojenno-lekarskiej opracowali rezolucyę, domagającą się powrotu do instytutu wszystkich studentów, wydalonych z powodów politycznych i usunięcia rygoru wojskowego z życia akademii.

— Kurator okręgu naukowego wileńskiego — jak pisze *Kuryer litewski* — zawiadomił dyrektorów szkół ludowych, że minister oświaty do czasu wydania ogólnego rozporządzenia, pozwolił na wykładanie religii katolickiej w zakładach szkolnych uczniom Polakom — po polsku, a dla Białorusinów i Litwinów zorganizować naukę w ich językach rodzimych za pomocą łączenia uczniów każdego z tych plemion w ogólną grupę i powierzenia wykładów religii księdzu, który zgodzi się na wykładanie jej w narzeczu białoruskiem. W razie, gdyby księża nie chcieli wykładać religii katolickiej w języku rodzimym uczniów, należy pozwolić rodzicom na organizowanie nauki religii w domu, według programów zakładów szkolnych.

— Rosyanie, studenci uniwersytetu warszawskiego, wobec kategorycznej odmowy rady uniwersyteckiej na prośbę o przeniesienie ich do innych uniwersytetów postanowili zająć stanowisko wyczekujące, aby nie przeszkadzać kolegom Polakom w sprawie przekształcenia uniwersytetu. Zobowiązali się oni zastosować do uchwał, jakie powoźmie ogół studentów Polaków.

— W Nowo-Radomsku staraniem ludzi dobrej woli powstała pierwsza w kraju, na podstawie nowych rozporządzeń, szkoła wieczorna dla analfabetów. Zapisało się odrazu 300 osób. Opłata wynosi 30 kop. miesięcznie.

— Dn. 23 b. m. nastąpiło urzędowe otwarcie politechniki warszawskiej. W dniu tym jednak i następnym zamiast wykładów i zajęć odbywały się wiece studenckie.

— Grono adwokatów warszawskich zamierza podobno własnemi siłami założyć prywatne gimnazyum z językiem wykładowym polskim. Drogą składek miano już zebrać 15,000 rb.; upatrzono też odpowiednie pomieszczenie i kierownika dla szkoły.

— W Moskwie, w gmachu uniwersytetu, odbył się, wiec studentów Polaków wszystkich wyższych zakładów naukowych w tem mieście.

Zdrowie publiczne. Z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego wszyscy naczelnicy powiatów winni starać się o ujawnienie każdego zachorowania na cholerę i zawiadamiać o nim telegraficznie gubernatora oraz naczelników bliskich oddziałów wojska.

Prasa. Na ostatniem posiedzeniu komisyi do spraw prasowych zadecydowano większością 7 głosów utrzymanie głównego zarządu do spraw prasowych, sprowadziwszy jego czynności do nadzoru nad wykroczeniami przeciw nowemu kodeksowi karnemu. W tym celu nowopowstające instytucye nazywać się będą „komitetami," a osoby do tych czynności przeznaczone — „inspektorami." Komisya oświadczyła się za rocznym terminem przedawnienia dla przestępstw prasowych, za pociąganiem do odpowiedzialności autorów, podpisanych pod artykułami, nie redaktorów. Sądowi przysięgłemu mają podlegać tylko przestępstwa przeciw wierze, inne — sądom koronnym. Prace komisyi będą wniesione naprzód do rady ministrów a następnie do Dumy państwowej.

Wiadomości ekonomiczne. Niektóre z Towarzystw rolniczych uznały ze rzecz najpilniejszej potrzeby tworzenie i popieranie w Królestwie Polskiem włościańskich kooperacyjnych spółek rolnych, których zakładanie zostało wstrzymane przez generał-gubernatora Czertkowa. Z tego powodu jedno z Towarzystw rolniczych zwróciło się do głównego zarządu rolnictwa z prośbą o przywrócenie włościanom prawa zakładania takich spółek.

— Ministeryum skarbu otwiera w Warszawie, Moskwie i Odesie biuro informacyjne o zdolnościach kredytowych.

Komunikacye i drogi. Od nowego roku wszyscy bez wyjątku pracownicy wydziału ruchu kolei nadwiślańskich mają otrzymać znaczne podwyżki pensyi i ulgi w pracy.

— Kolei Warsz.-Wiedeńskiej przyznano prawo używania języka polskiego w korespondencyi wewnętrznej w całej rozciągłości, w myśl żądania delegatów i ogółu pracowników tej kolei.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych Wł. i M. Hulaniccy rb. 20, dla uczczenia pamięci Wandy z Michalskich Huszczowej, dobrej Polki i zacnej kobiety—zamiast wianka na trumnę.

Na wsparcie wdów i sierot po żołnierzach Polakach z ostatniej wojny Józef Jurewicz ze Śladów w gub. Podolskiej rb. 3 kop. 50.

Dla młodzieży szkolnej do uznania redakcyi Bracia Jabłkowscy rb. 10.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 13 Октября 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.